Orhan Pamuk: „Rudowłosa” – powieść palimpsest.

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Rudowłosa”, najnowsza powieść Orhana Pamuka, utwierdza czytelników w przekonaniu, że turecki mistrz barokowej narracji nadal jest w znakomitej formie i (u)wodzi czytelnika za nos.

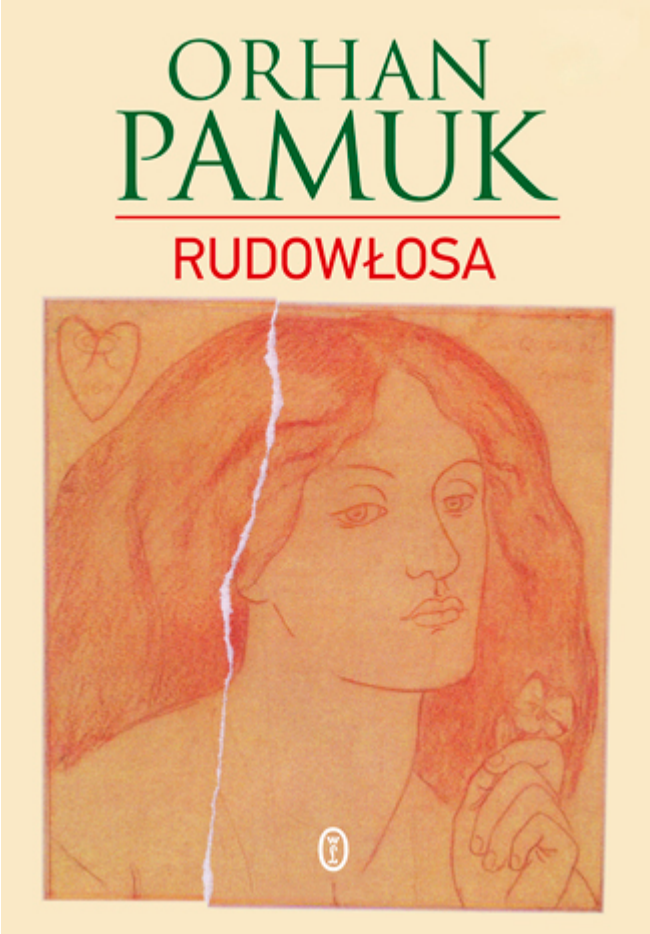

Nic, co prawda, nie przebije historii tajemniczych zabójstw miniaturzystów w nagrodzonej Noblem powieści „Nazywam się Czerwień” oraz równie oryginalnej, co obszernej: „Muzeum niewinności”… A jednak „Rudowłosa” także zaskakuje zwrotami akcji czy może bardziej – narracji. Jest jak palimpsest: pod zasadniczą i – chciałoby się rzec: widoczną historią – ukrywa się następna i następna, jeszcze bardziej zagadkowa…

Ojciec bez syna jest jak syn bez ojca: nikt go nie przyjmie jak swego

Słowa te, pochodzące z „Księgi królewskiej” Ferdousiego, są jej mottem, ale bynajmniej nie jedynym. Powieść Pamuka opatrzona jest także cytatem z „Narodzin tragedii” Friedricha Nietzschego, przywołującym ludowe perskie powiedzenie, że *mądry mag może się narodzić tylko z kazirodztwa* oraz fragmentem pochodzącym z tragedii Sofoklesa: „Król Edyp”: *Gdzież znajdą się ślady // Dawnej i wiekiem omszałej już zbrodni?* Wszystkie one

wprowadzają różne klucze interpretacyjne tej samej zbrodni: zabójstwa i kazirodztwa, a także – jakbyśmy powiedzieli współczesnym językiem – relacji ojca i syna, które kładą się cieniem na życiu ich obu. Pamuk powie ustami swego bohatera, że jest to ***opowieść o tajemnicach relacji między ojcem a synem.*** I słowo „tajemnica" okaże się jak najbardziej zasadne.

Początkowo więc czytamy historię życia, którą opowiada Cem – główny bohater, a jej interpretacja pozostaje w ścisłym związku z myślą przywołaną z „Księgi królewskiej". Kiedy narrator był dzieckiem, ojciec opuścił rodzinę w niewyjaśnionych okolicznościach, skutkiem czego sytuacja materialna stała się tak trudna, że chłopiec w czasie wakacji podjął pracę w księgarni, co zresztą bardzo mu się podobało, ponieważ mógł czytać dowoli, zaczął też marzyć o zostaniu pisarzem. Ponieważ jednak praca w księgarni była nisko płatna i nie mogła pokryć kosztów kursów przygotowawczych do egzaminów na uniwersytet, chłopiec przyjął propozycję pracy przy kopaniu studni. W ten sposób poznał mistrza Mahmuda, który nie tylko wprowadził go w tajniki zawodu, ale stał się dla niego kimś w rodzaju ojca. Był stanowczy, mądry, ale i opiekuńczy, czuły. Mistrz Mahmud uczy także naszego bohatera odpowiedzialności i cierpliwości w dochodzeniu do celu, a wieczorami opowiada różne fascynujące i pouczające historie. Dopiero w dorosłym życiu Cem odkryje, że pochodzą one ze starych ksiąg, m.in. z Koranu i z „Księgi królewskiej" Ferdousiego, i zawierają nieprzemijające prawdy.

> Moim mistrzem był mój ojciec, a jeśli ty okażesz się dobrym pomocnikiem – mawiał Mahmud – staniesz się dla mnie jak syn.

Stworzyli więc relację, w której mistrz Mahmud zastąpił chłopcu ojca, którego mu tak brakowało.

Pewnego wieczoru mistrz prosi chłopca, aby tym razem on opowiedział jakąś pouczającą historię i ten przytacza mit o Edypie. Nie rozumie przy tym, dlaczego wybrał właśnie tę opowieść, nie potrafi też odczytać jej morału, ale mistrz odczytuje właściwe pouczenie, dotyczące przeznaczenia. Jednakże opowieść ta, pochodząca z europejskiego kręgu kulturowego, nie podoba mu się. Zupełnie, jakby przeczuwał, że w jakimś sensie może się spełnić w jego życiu. W rewanżu mistrz opowiada chłopcu podobną historię, pochodzącą z kręgu tradycji wschodniej, w której to ojciec zabija syna, ponieważ nie rozpoznaje go. Te dwie opowieści tworzą właściwie rodzaj uniwersum, w którym tradycje pozornie odległe: wschodnia i zachodnia spotykają się i uzupełniają. A potem spełniają w losach bohaterów powieści Pamuka. *Ojciec bez syna jest jak syn bez ojca…*

Ufaj mistrzowi i słuchaj go, a on się już wszystkim zajmie – przekonuje go Mahmud. *Będziesz kiedyś wielkim człowiekiem,*

wiem to. A jednak syn zdradza ojca, bo sam został niegdyś przez ojca zdradzony… I nie zostaje nikim wielkim.

John Collier, „Lilith”, 1892, The Atkinson Gallery, Anglia.

Rudowłosa Lilith

Cem przeżywa w tym czasie pierwszą miłość – obiektem jego fascynacji staje się tytułowa Rudowłosa, aktorka występująca w miasteczku, sporo od niego starsza. Jej będzie zawdzięczał inicjację w dorosłość, ona też stanie się jego przekleństwem. Ulegając jej chłopiec niszczy swoją relację z mistrzem i ucieka od niego, przekonany, że przyczynił się do jego śmierci. Rudowłosa jest symbolem wieloznacznym: kojarzy się z grzechem i występkiem, jest Lilith, znaną z wczesnej literatury rabinicznej, gdzie jawi się ona jako zła i zepsuta kobieta, pierwsza żona Adama. Zaś kolor rudy od dawna kojarzony był z grzechem, światem podziemnym i szatanem – był kolorem kłamstwa, zdrady, fałszu, oszustwa, niewierności i wiarołomstwa. W istocie, Rudowłosa – przedmiot młodzieńczej fascynacji – sprowadzi na bohatera nieszczęście.

Fatum

Odtąd będzie uciekał od swojego przeznaczenia, jak Edyp, nie mogąc się jednocześnie od niego uwolnić. Obsesyjnie studiuje księgi i obrazy związane z obu opowieściami, a szczególnie z historią Edypa. Poznając ją, podobnie jak bohater antycznej tragedii – długo jednak nie rozpoznaje w niej siebie.

Cen porzuca też marzenia o zostaniu pisarzem. Początkowo pragnął nim zostać, ponieważ chciał w ten sposób zapanować nad obrazami, emocjami i przeżyciami, których doświadczał. Jakże jednak może zapanować nad tym wszystkim ktoś, kto ucieka od samego siebie… I czy można uciec od swego losu? Historia Edypa pokazuje, że to się nigdy nie udaje. Syn staje się ojcem i ginie z ręki własnego syna.

Ale Pamuk na tym nie kończy. Chociaż uśmierca swego głównego bohatera, historia na tym się nie kończy. Narratorką zostaje teraz… Rudowłosa. W ten sposób nie mamy już złudzeń, że los Envera, syna Cema, jest przesądzony. Zarazem jednak przesuwają się akcenty powieści – jej narracja zyskuje kolejny, nieoczekiwany wymiar.

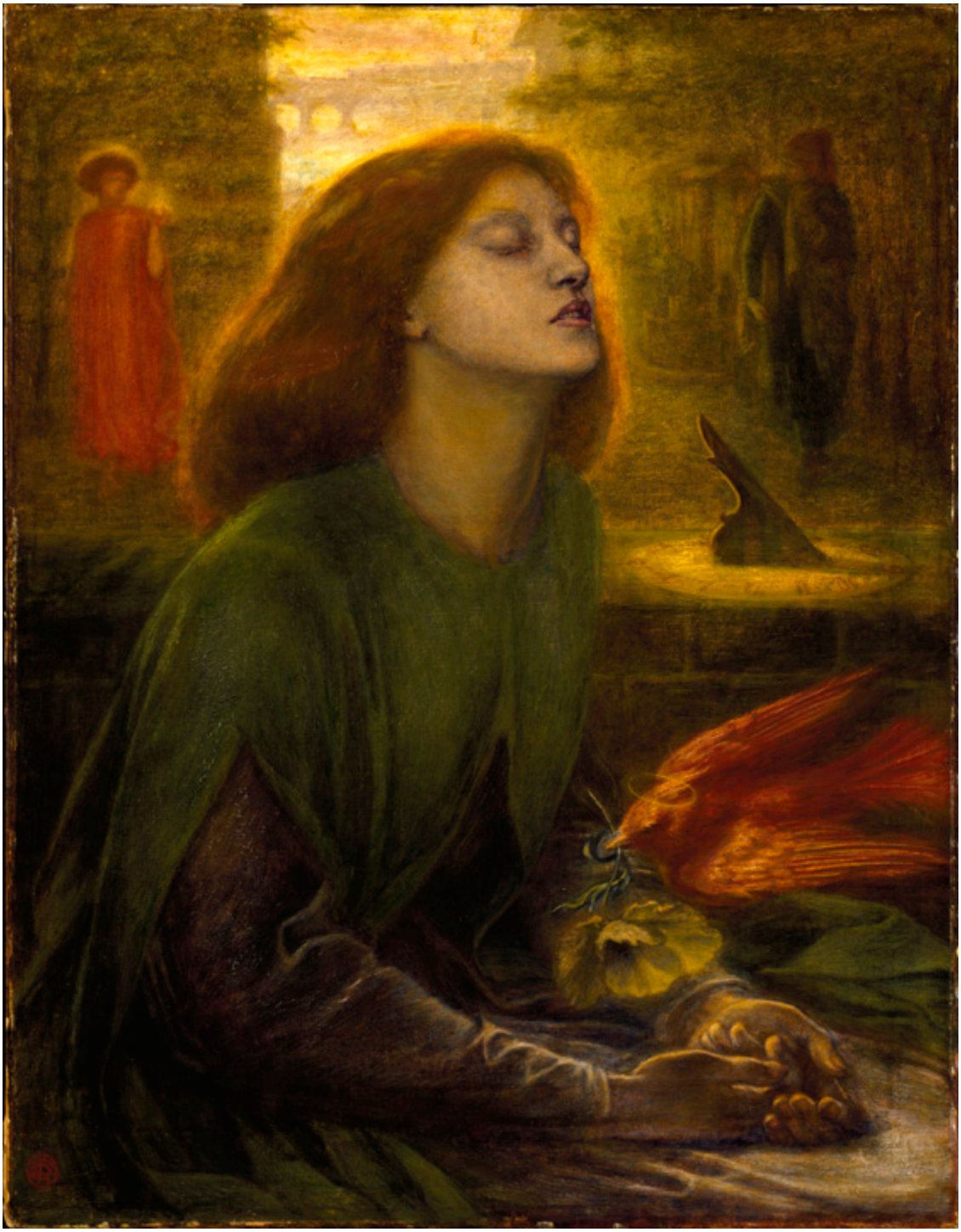

Dante Gabriel Rossetti, „Beata Beatrix”, 1864-70, Tate Gallery, Londyn.

Opowieść o procesie twórczym

Enver pragnie, jak niegdyś jego ojciec, zostać pisarzem i *swoimi*

słowami opowiedzieć własny mit. Teraz, kiedy zabił ojca „przez przypadek”, może snuć opowieść o tym, jak do tego doszło, do czego usilnie namawia go Rudowłosa. Kiedy syn jest w więzieniu, już się przeciwko niej nie buntuje, ale należy wyłącznie do niej. A ona bardzo pragnie, by wydobyto ją z cienia. Dlaczego tylko ojciec i syn? Gdzie postać kobieca? Przecież to ona jest ukrytą sprężyną całej tej opowieści. Toteż Rudowłosa wręcza synowi reprodukcję obrazu Dantego Gabriela Rossettiego: „Beata Beatrix”, przestawiającą tę, która była inspiracją dla Dantego, uosobienie kobiecości i piękna. Dodajmy, że modelką była Lizzie Tiddal – uwielbiana przez prerafaelitów ich muza, potem żona Rossettiego. Rudowłosa także chce być muzą, toteż prosi syna:

> Kiedy skończysz (pisać książkę), na okładce umieścisz ten obrazek; i powiedz co nieco o młodości twojej pięknej matki. Spójrz, ta kobieta trochę mnie przypomina. I dodaje: Oczywiście sam wiesz najlepiej, jak zacząć powieść, ale powinna ona być jak moje końcowe monologi: szczera, a zarazem baśniowa. Realistyczna jak prawdziwe przeżycie i znajoma jak legenda. Wtedy zrozumie cię nie tylko sędzia, wtedy zrozumieją cię wszyscy. I pamiętaj, że właściwie twój ojciec też chciał być pisarzem.

Bo, koniec końców, powieść Orhana Pamuka jest przede wszystkim opowieścią o tym, jak powstaje powieść, w której

wszystkie te znane mity i symbole obu kultur: wschodniej i zachodniej, stanowią niewyczerpane źródło wiedzy o człowieku i jego losie. Najlepszym tego przykładem jest nie tylko mit o Edypie, ale także obecny w powieści motyw studni. Jest ona symbolem twórczej mocy i zgłębiania tajemnicy samego siebie, co jest procesem żmudnym i trwającym długo, ale przynoszącym w końcu owoce tym, którzy od tego nie uciekają i nie tracą wiary, że to ma sens. Oczywiście, niezbędnym warunkiem stworzenia dobrej opowieści, „zrozumiałej dla wszystkich", są emocje: miłość, fascynacje, nierzadko „grzeszne", których opanować się nie da, ale bez nich nie ma życia i nie ma dobrej literatury.

Powieść Orhana Pamuka: „Rudowłosa" ukazała się 17 sierpnia 2017 roku w Wydawnictwie Literackim, w tłumaczeniu Piotra Kawuloka.

Refranero – księga przysłów hiszpańskich i ich polskich odpowiedników.

Piotr Sawicki

Historia przysłów jest niemal równie długa jak dzieje gatunku ludzkiego. W kulturze śródziemnomorskiej, której dziedzicami są zarówno Hiszpanie, jak i Polacy, kolebką tych szczególnie trwałych płodów kreatywności człowieka były starożytna Grecja (gdzie powstał na ich określenie termin paroimia), literatura i prawodawstwo Imperium Romanum, źródło i skarbnica przysłów starorzymskich (łacińskie *proverbia* i *adagia*), wreszcie księgi Starego i Nowego Testamentu, od mądrości króla Salomona po opowieści Ewangelistów. Te trzy główne strumienie, wraz z zasobami rodzimej twórczości dawnych ludów „barbarzyńskich" (Gallów, Germanów i Słowian, a zapewne też pierwotnych mieszkańców preromańskiej Iberii), o płynnych i przenikających się granicach, zlały się wraz z twórczością autorów późnołacińskich i nowożytnych we wspólny nurt, pojawiając się w językach poszczególnych narodów w postaci pokrewnej, zbieżnej semantycznie i frazeologicznie, również dzięki nauczycielskiej misji Kościołów chrześcijańskich obu obrządków. Procesy te tworzyły sprzyjający grunt pod badania przysłowioznawcze,

a w szczególności – opracowania paremiograficzne, w formie dwu- i wielojęzycznych wyborów przysłów. Zapoczątkował je, w dobie renesansu, wybitny humanista flamandzki Erazm z Rotterdamu zbiorem 800 przysłów antycznych i zachodnioeuropejskich (*Adagiorum collectanea*, 1500), stale wznawianym i uzupełnianym aż po swą ostateczną formę obejmującą kilka tysięcy komentowanych przykładów. Podobne, choć skromniej zamierzone słowniki ukazywały się w rozmaitych językach europejskich pod różnymi tytułami; odnotujmy tu przynajmniej jeszcze jedno klasyczne dzieło, *Lexicon Tetraglotton* (1660) angielskiego badacza Jamesa Howella. Jeżeli chodzi o języki słowiańskie, najbogatszy materiał porównawczy zebrał czeski folklorysta František Ladislav Čelakovský, powołany w roku 1842 na kierownika pierwszej w środkowej Europie Katedry Slawistyki, założonej przy pruskim Uniwersytecie Wrocławskim. Tu właśnie ukończył on swe życiowe dzieło, *Mudrosloví národu slovanského ve příslovích* (opublikowane już po powrocie autora do Pragi), uzupełniając w nim przysłowia i porzekadła czeskie odpowiednikami polskimi, rosyjskimi, słowackimi, łużyckimi itd., a także ekwiwalentami zaczerpniętymi z innych systemów językowych, od Bałtów po Hiszpanów. Również paremiografia polska ma w swym dorobku szereg imponujących opracowań, począwszy od *Proverbiorum polonicorum centuriae decem et octo* Salomona Rysińskiego (1618), zbioru obejmującego 1850 przysłów i zwrotów przysłowiowych, w tym przykłady zaczerpnięte bezpośrednio

z mowy potocznej i z języka ludowego, i *Adagia Polonica* (1632) jezuity Grzegorza Knapskiego (2000 przysłów i ich wariantów, ponadto odpowiedniki łacińskie i greckie). W dobie baroku nowymi przysłowiami przyczynił się do wzbogacenia zasobów rodzimej mowy, często w oparciu o jędrną i rubaszną polszczyznę sarmacką, autor Moraliów (1688–1696), Wacław Potocki, podobnie jak to przed nim uczynili Mikołaj Rej i Jan Kochanowski. Do tradycji XVI i XVII wieku nawiązywał Samuel Bogusław Linde, twórca monumentalnego *Słownika języka polskiego* (1807–1814), w którym przytoczył, dla uzupełnienia poszczególnych haseł, ponad 10 tysięcy przysłów, a za nim kolejni badacze, etnografowie i folkloryści, wreszcie pisarze romantyczni i to ci najwybitniejsi (w samym *Panu Tadeuszu* doliczono się ponad 300 przysłów). Ten przebogaty, rozsiany w słownikach i w literaturze pięknej materiał, zebrał i wydał w latach 1889–1894 Samuel Adalberg; jego *Księga przysłów*, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich obejmuje 30 tysięcy zapisów głównych i około 40 tysięcy wariantów10. W późniejszym okresie badania paremiologiczne prowadzili m.in. Aleksander Brückner i Stanisław Bystroń, a po II wojnie światowej – Julian Krzyżanowski, organizator prac nad 4-tomową *Nową księgą przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich* (1969–1978), wraz z zespołem redakcyjnym, w którym główną rolę odgrywał Stanisław Świrko, autor przygotowanego równolegle podręcznego (około 2500 zapisów) wyboru, zatytułowanego *Na wszystko jest przysłowie* (1975). Jego

rozszerzoną i uaktualnioną wersją, o podobnym układzie tematyczno-problemowym, opatrzoną wielce użytecznym „hasłowym indeksem pomocniczym”, jest późniejszy słownik córki badacza, Dobrosławy Świerczyńskiej, zatytułowany *Przysłowia są… na wszystko* (2001). W wymienionych tu publikacjach poszukiwacz polskich ekwiwalentów semantycznych dla hiszpańskich *refranes* znaleźć może wiele zbieżnych obserwacji i sformułowań, świadczących o tym, jak bliskie sobie są – czy też były – obie kultury, odwołujące się do tych samych, klasycznych źródeł inspiracji, operujące w sferze zbiorowej, anonimowej ekspresji twórczej podobnymi motywami, stereotypami, sądami i przesądami, typowymi dla społeczeństw silnie konserwatywnych, przywiązanych do tradycji i wiary przodków, do patriarchalnego systemu wartości. Kultury o dwoistym, plebejsko-szlacheckim rodowodzie, z wyraźną przewagą żywiołu wiejskiego i archaicznego stylu życia nad cywilizacją zurbanizowaną, mieszczańsko-industrialną.

Fragment wstępu

Hiszpania

Przysłowia

(wybór Florian Śmieja)

Kto chodzi po ziemi, nie upadnie.

Chłop i niedźwiedź wtedy ładni, gdy szkaradni.

Mądra żona ani widzi, ani słyszy.

Dla zakochanego nie ma nic trudnego.

Ja łoltrzyca, a ty łotr, chyba nas wyswatał czort.

Śmierć i żona od Boga przeznaczona

Porzuć żart, póki ucieszny.

Mądry milczy, póki czas nie przyjdzie.

Póki rok nie minie, nie mów że stracony.

Kto ma wyrzuty sumienia, mnoży usprawiedliwienia.

Kto w niebo pluje, siebie opluje.

Każdy się drapie, gdzie go świerzbi.

Niech nie ciska kamieniami, kto sam mieszka za szybami.

Myśli sobie cap brodaty, że na świecie same capy.

Pies za darmo nie szczeka.

Dobra nioska, cicha żona – nieocenona.

Małpa zawsze będzie małpą, choćby w jedwabiu.

Rogacz się ostatni dowie, co mu wyrosło na głowie.

Dobrze czasem, gdy mąż ślepy a żona głucha.

Pies ogrodnika sam nie zje i drugiemu nie da.

Wolę dziś jajko sadzone, niż jutro kurczę pieczone.

Ożeń syna, kiedy zechce, wydaj córkę, kiedy możesz.

Nie darmo wodę święcą.

Poszedł strzyc barany, wrócił oskubany.

Zła nowina rzadko się odmieni.

Kto z radością brzemię dźwiga, temu lżej.

Jednym ciosem dębu nie powalisz.

Bóg synów nie dał, to czart bratanków zesłał.

Miłości i śmierci żadna siła nie powstrzyma.

Pióro jest ostre, a papier cierpliwy.

Piotr Sawicki, Magdalena Pabisiak, „Refranero español-polaco. 1551 przysłów hiszpańskich i ich polskich odpowiedników", wstęp, wybór i układ Piotr Sawicki, przekłady i imitacje przysłów hiszpańskich Magdalena Pabisiak i Piotr Sawicki, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Filologicznej we Wrocławiu, Wrocław 2016.

Nad jeziorem Huron

Jest w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami.

Zbigniew Andres

Florian Śmieja

fot. Jacek Gwizdka

JEZIORO W NOCY

Nocą jezioro Huron szumi najwymowniej.

Posądzam je o czary: podejrzewam

że wlewa się do niego Odra

umorusana Czarnawka, siołkowicka Brynica

których wody obmywały moje dzieciństwo

a teraz razem kołyszą mnie i zwodzą

łudząc, że wszystko jest jak trzeba.

ZACHÓD SŁOŃCA

Gęganie wracających pod wieczór ptaków

krzyk nienasyconych mew

i dźwięki irlandzkiej harfy

dobywane przez starszą panią

w płomiennej peruce

towarzyszą zachodowi słońca

nad brzegiem jeziora Huron.

Łatwiej nam celebrować zmierzch

ufając w zmartwychwstanie.

ŚWIT

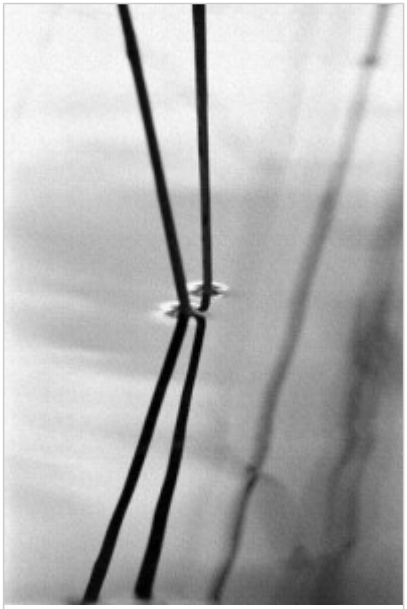

fot. Jacek Gwizdka

Ciemność poraziło światło

pozieleniałe od świerków

nagle obecnych w milczeniu

misterium nowego dnia.

Dziś trzeba odjeżdżać

upłynął ścisły termin

skończyło się mleko, opróżnił

słoik z błyskawiczną kawą.

Popakowane stoją tłumoki

wracamy do domu

do spraw odłożonych na potem

do obowiązków nie cierpiących zwłoki

codziennych spraw, do siebie

od którego uciec się nie da.

DAR

Grzmoty i błyskawice wprowadziły budzący się dzień.

Nagły szkwał przybliżył szum ożywionego jeziora

posypały się z nieba krople grube jak grochy.

Ogromny klucz gęsi zawrócił wcześnie z pastwiska

choć podniosły się niskie chmury

i powiał ciepły, zachodni wiatr.

Nie tylko z pogodnych dni składa się życie.

darem jest najlichsza jego cząsteczka

splendorem niezasłużonej, życzliwej hojności.

DRZEWA

fot. Jacek Gwizdka

Niespodziewany wiatr od jeziora

zatargał wami wczoraj o zmroku.

Bałem się, że runiecie na dach

jak kiedyś sąsiednie drzewa.

Potem długo świeciły błyskawice

i siekły grube krople. A oto

widzę was świeże w porannym słońcu

nie pamiętające grozy, gotowe

zielono wieńczyć nowy dzień.

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmi: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufnego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

Zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów. Jan Darowski (1926-2008).

Henryk Waniek

> Resurrectio chartarius posthumus
>
> czyli
>
> zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów

Mam ja chyba z poezją jakieś nienormalne stosunki. A z poetami – pomijając wyjątki – w ogóle się nie zadaję. A tymczasem –

proszę, książka, prawie czterysta bitych stron druku, które czytam jedna za drugą, mimo że tytuł na okładce, jak na moje wyczucie, dość szkaradny – *Poezje*. Autor – Jan Darowski. Wydane w Rzeszowie (2015). Już przekroczyłem połowę!

Na stronie 299, w rozdziale zatytułowanym *Okruchy*, gdzie rzeczywiście są jakieś okruchy, ale też szkice, jednowersowe poematy, aforyzmy (niektóre trafią do dłuższych wierszy, inne do esejów), znajduję coś oto takiego: „zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów". Więc pewnie też „żywot wieczny, amen". Ciekawe, co poeta miał na myśli? Czy jakaś to intuicja? Wyznanie wiary w papier? Proroctwo?

Książka przez którą się właśnie przeprawiam, to tom drugi z serii „Dzieła Jana Darowskiego", wydawanej przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA w Rzeszowie pod redakcją Jana Wolskiego. A nawet trzeci, jeśli uwzględnić wydane wcześniej *Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajeń. Twórczość Jana Darowskiego. Studia i szkice*. (2012). Poza wstępem, apendyksami i indeksem, składają się na nią szkice 27 różnych autorów. Wszystkie – i te lepsze, i te gorsze – ciekawe. A szczególnie jeden, o którym powiem na końcu. We większości jednak akademickie – niestety.

Za tom piąty można by uznać *Archiwum domowe Jana Darowskiego*, ale on z kolei oznaczony jest jako trzeci. Więc już

się pogubiłem w tej numeracji. Może następne wniosą odrobinę jasności. Oby. Bo są tam – jak słyszę – jeszcze liczne „papiery pośmiertne” warte zmartwychwstania. Że warte, jestem pewny, choć ich nie znam. Na początku jednak, zanim odważyłem się na *Poezje*, zapoznałem się z tymi… *Studiami i szkicami*.

Zastanawiające, że w tej liczbie autorów tylko 3 osoby reprezentują Uniwersytet Śląski w Katowicach. Zwracam na to uwagę, bo Jan Darowski, podobnie jak Florian Śmieja, jego kompan z londyńskiej grupy literackiej *Kontynenty*, przez całe życie silnie podkreślali swą śląską tożsamość. Może dla Uniwersytetu Śląskiego żadna to zaleta? Może się mylę i powód dla którego spuścizna Darowskiego trafiła nie do tamtego, a do Zbiorów Specjalnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, to splot nieznanych mi przypadków, jeśli ktoś wierzy w przypadki. Zresztą może on sam by sobie tak życzył? Bo kto wie czy w Rzeszowie szansa na z papierów rezurekcję nie jest większa niż w Katowicach?

Tego nie wiem, ale telefonuję do znajomych filologów z Uniwersytetu Śląskiego. Jeden, doktor habilitowany oraz profesor zwyczajny. Drugi tylko dr hab. Pytam jednego i drugiego czy znają twórczość, a choćby tylko słyszeli o Darowskim. Pierwszy zdecydowanie zaprzecza. Nazwisko nic mu nie mówi. A dlaczego pytam? Gdy wyjaśniam, że chodzi o powstanie z martwych, staje się jeszcze bardziej ciekawy. Drugi

natomiast odpowiada, że coś tam wie, choć słyszę wyraźnie, jak już w następnym zdaniu przekręca nazwisko na Darecki. Więc szkoda gadania. Przestaję telefonować, a w międzyczasie dowiaduję się jednak, że owszem, profesor Marian Kisiel zna. Więc może ktoś jeszcze?

Korci mnie by kontynuować ten test wśród mniej znanych mi tamtejszych luminarzy. Bo mało kto jak Darowski, Raciborzanin z pochodzenia, zasługuje przecież na miejsce w kulturowej pamięci regionu. Takich osobowości raczej się tam nie liczy na kopy. Ale co tu testować, skoro nie ma o nim wzmianki nawet w pracy prof. Zbigniewa Kadłubka i Łucji Staniczkowej – *99 książek czyli mały kanon górnośląski* (2011). Nie ma tam zresztą również Floriana Śmieji. A czy jest Piotr Guzy?

Więc taki to kanon. A bezwzględnie powinni tam być. Szczególnie Darowski, bo to pióro nie byle jakie i umysł, choć dopiero z papierów zmartwychwstający. To mnie zresztą za bardzo nie dziwi, jako że przyszło mu być emigrantem. Żył niemal na innej planecie, patrząc na Polskę z bezpiecznego dystansu. Co więcej, nie rozpychał się Darowski na jarmarku literackiej próżności. Emigranckim, oczywiście. Przyglądał mu się z rezerwą, a kto wie czy nie nawet z niesmakiem. Tam, w Albionie. Ale czy na polskim byłoby inaczej? Do jarmarku nie pasował, kwalifikował się raczej do Hyde-Parku. Poza tym, gdzie mu tam do uniwersytetów! Jego doktoratem było samo życie.

Lektury. Myślenie. Trzeźwy ogląd rzeczy. Nie czułby się pewnie dotknięty, gdybym tu napisał – samouk. Bo trudno o większy komplement. Kto się bowiem sam nie uczy, nie uczy się wcale, tylko jest nauczany. Toteż samouków mam w wielkim poważaniu.

Nadto, był Darowski człowiekiem – jak się to mówi – z charakterem. Nie praktykował kompromisów. Żadnych ustępstw na rzecz wydumanych „wyższych racji", choćby korzystnych. Co gorsza, z usposobienia weredyk, co nie czyni życia lżejszym. Świat rozkochany w iluzjach i baśniach nie zdradza wielkiego popytu na prawdę. Powiedzmy zatem, że myślowo kierował się raczej ku prawdzie niż jej eleganckim przeinaczeniom. I tak ostatecznie wypadł mu – a raczej pośmiertnym papierom – ten Rzeszów, gdzie z nimi obchodzą się czule, podczas gdy na Śląsku ledwie o nim wiedzą. Albo nic zgoła.

Oczywiście, czytelnikom TWÓRCZOŚCI, ani jej redaktorom, wyjaśniać wręcz nie wypada kim był Jan Darowski. Gościł na jej stronach kilkakroć jako autor, a też jako temat. A już na pewno nie Rajmundowi Kalickiemu, który w połowie lat 90. ze zmiennym szczęściem usiłował znaleźć dla niego godziwe miejsce w miesięczniku. Szczególnie dla jego esejów. O trudnościach z tym związanych jest mowa w listach jakie doń napisał Darowski, teraz opublikowanych (TWÓRCZOŚĆ, Nr.6, 2015). Rozumiem i podzielam tę słabość Kalickiego do jego pisarstwa, choćby dlatego, że jest w Darowskim coś, czego nie

ma u innych. Co zdarza się nielicznym. Odwaga sądzenia, mianowicie. Osobista i – na ile to tylko możliwe – obiektywna. Samotna.

Kolektywne *unisono*, to nie było dla niego. Nie basował w chórach. Jako solista żył z boku, chyba świadomy, że go słucha niewielu rodaków. A jeszcze mniej słyszy. Bo też światek brytyjski, w którym się wygodnie zakotwiczył, to była garstka zaledwie, na ogół z takim IQ, jakie dopuszcza regulamin wojskowy, lub przedwojenna polska matura. A on? Nawet nie porucznik. Do tego niemieckie, średnie wykształcenie techniczne. No i wreszcie inteligencja osobista, zaledwie wrodzona. Więc na jakich koturnach miał się tam poruszać? Czym mógłby się pysznić on – człowiek zwyczajny, otwarty na oścież, dociekliwy, chętny, lubiący być użytecznym. A też i zamknięty na rzeczy zalatujące fałszem – choćby niewinnym.

Przez jakiś czas nosił się z zamiarem pisania wyłącznie po angielsku. I choć nic z tego nie wyszło, dość obszernie naświetlił ten zamiar, przy okazji wytykając językowi polskiemu defekty. Swą krytykę wzmocnił doświadczeniem drukarza i poligloty. Tezę, że „język polski może być zapóźnionym językiem kultury zasadniczo rolniczej i literatów kultury rolniczej…”, na którą z pazurami rzucił się Józef Łobodowski, omówił i tak szczegółowo mu wyjaśnił, że uszczypliwość Darowskiego względem polszczyzny jest całkiem uzasadniona. Dodać należy, że nie tylko

polski i angielski, lecz także niemiecki i rosyjski znał biegle. Więc nie tylko o to chodziło, że w języku polskim było mu niewygodnie. Bardziej chyba o to, że po angielsku byłby liczniej czytany i słuchany. I może nie musiałby teraz z papierów zmartwychwstawać? Co bardziej zaciemnione umysły w jego otoczeniu, doszukiwały się w tej deklaracji znamion zdrady. Renegacji bodaj. Kto by tam pamiętał o Josephie Conradzie czy choćby Jerzym Pietrkiewiczu?

Ten zamiar wszelako jawi się dwuznacznie w świetle wyznania, jakie w 2001 roku uczynił w rozmowie z Beatą Tarnowską:

> Niestety, pierwszy wiersz napisałem po angielsku i pisałem po angielsku przez następne 5 lat [od 1949 roku]. Pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików w Londynie… Ale uświadomiłem sobie, że urodziłem się na Anglię o 22 lata za późno. I wróciłem do korzeni języka polskiego. Bardzo kiepsko z tym było i naprawdę zostałem wprowadzony w język polski po raz drugi w życiu.

Lecz w zasobach rzeszowskiego archiwum nie ma (jeśli się nie mylę) żadnych utworów Darowskiego po angielsku. Wiedział on przecież, że pewne rzeczy trudno ująć w innym języku niż polski, bo by się w nim najzwyczajniej nie zmieściły. Choćby w

angielskim. Więc droczył się z tą polszczyzną, raczej prowokując niż grożąc. Wydobywał jej słabostki przekonany, że tylko w ten sposób można ją wzmocnić. Uchronić przed zagładą. Przed schorzeniami, które właśnie się dzieją. Czy nie z naszym udziałem? W istocie, bardzo ten język polski celebrował, włącznie ze zdarzającymi mu się nieznacznymi dziwactwami. Na przykład:

> nie ma dla nas innego dostępu do jej treści prócz przez jej obraz graficzny.

Dość notorycznie u Darowskiego plącze się to „prócz”. Ale żaden to grzech. Wszystko jest zrozumiałe.

Pozostał więc pisarzem polskim. Poetą. Znany był również z nadzwyczaj udanych przekładów. Miłosz czy Herbert widzieli w nim najsolidniejszego tłumacza. Lecz dla niego translatorstwo było marginesem. Jak i cała ta poezja. Przeto oryginalnej twórczości Darowskiego nie da się ująć prosto. Bo jest ona prymarnie spłaszczona przez fakt, że w biogramach i bibliografiach Darowski notorycznie występuje jako „poeta”. O tyle to zgodne z prawdą, że istotnie, pisywał i wydał nawet dwa zbiory wierszy. Podobnie jak prawdą jest, że „tłumacz”, skoro z powodzeniem przekładał na angielski Różewicza, Białoszewskiego, Szymborską i innych. Także „w drugą stronę”,

tłumaczył na polski Davida Herberta Lawrence’a czy Williama Butlera Yeatsa.

Ale ja bym go nazywał „pisarzem”. Nie tylko dlatego, że uprawiał też prozę, jakkolwiek jego *Unsere* trudno nazwać powieścią. To poruszające osobiste świadectwo. Bardzo osobiste. Raczej autobiografia. Ale w końcu i ta opowieść traci równość narracji, skręca w dygresje, przemienia się w istny „traktat o wszystkim”. Darowskiemu nie przeszkadzało, że „wszystko” jest niemożliwe. A co szkodzi, próbować? Zatem ostatecznie góruje w nim eseista, którego erudycyjne gadulstwo nie zawraca sobie głowy formą i konwencjami. Podobnie zresztą, jak sarka na naukową pychę, tak

często myloną z mądrością.

Więc zamiast wydzwaniać do Uniwersytetu Śląskiego i wypytywać, sam zabieram się do pisania. Ale najpierw do przeczytania, bo jak na mizerne moje możliwości, to jednak sukces bez mała. Czytam, czytam jeden wiersz za drugim. Przy niektórych dopada mnie drzemka. Przy innych nie gubię sedno. Czytam te *Poezje* jako kompletny bilans dorobku wierszopisa. A więc wydany w 1969 roku w Londynie zbiór *Drzewo sprzeczki* oraz – również w Londynie – *Niespodziewane żywoty* (1990). I wreszcie pośmiertnie *Wiersze różne*, a nade wszystko – także pośmiertnie – *Okruchy*. Te ostatnie są trochę bulwersujące; jedno, dwu, rzadziej trzywierszowe notatki, niektóre w kilku wariantach. Czasem wydają się być incipitami pomysłów, którym się już nie chce dorastać. Poeta wydaje się być znużony tym rzucaniem grochu o ścianę.

„Wiersze jak wiersze, sprawnie napisane, ale nie o poezję w nich chodzi" mówi ktoś, również nieobojętny na Darowskiego. Tu i ówdzie zarys jakiegoś obrazu, myśli, słów, które w pełni rozwijać się będą i dojrzewać dopiero w esejach. Słuszna, oj słuszna jest uwaga Jana Wolskiego:

> Jeszcze do niedawna, jeżeli kojarzono go, to właśnie z poezją, a bywało, że niemal wyłącznie z nią. Ale to chyba eseistyka

> zajmuje w całym dziele miejsce bardziej eksponowane, a raczej może je zająć.

A gdy czytam ich – Darowskiego i Kalickiego – rozmowę, którą sobie ucięli w Londynie na początku roku 1994, wyobrażam sobie niezwykłość, której się dosłuchał gość w jego słowach. Między innymi, to spojrzenie ze zdrowym dystansem na polski – krajowy i emigracyjny – stan rzeczy.

A to dlatego, że poza wszystkim, co tu napisałem, w osobowości Darowskiego jednak przeważał Polak. Mieszkający w Anglii, zgoda, i tam mający już własne, zapięte na ostatni guzik życie. Ale czy nie dlatego właśnie? Czy aby Polakowi nie jest potrzebny status emigranta, by się gruntowniej określiły jego horyzonty. Emigracja zewnętrzna, czy wewnętrzna – obojętne. Bo kontury Polski, Polaków i polskości widać z oddalenia wyraźniej niż to może się zdarzyć gdzieś w Warszawie, Lublinie czy Poznaniu. Niż to bywa w ślepym oddaniu się Polakom, Polsce i polskości. I w tym sensie Darowski dość *explicite* powtarza, że jednak polskość zobowiązuje. Do czego? To pytanie zostawiam na później, bo na razie chcę wydobyć tę jego szczególną właściwość widzenia, którą określę jako imperatyw przyzwoitości.

Gdyby to przeczytał, pewnie by się zżymał. Że się go tutaj próbuje uczynić arbitrem jakiejś etycznej poprawności.

Poprawnej narodowości. Czy w ogóle jakiejkolwiek poprawy. Tymczasem, ani w swoich wierszach, ani nawet pomiędzy nimi, nie dawał do zrozumienia, że go to w ogóle obchodzi. A raczej, że o ludzkiej przyzwoitości wie więcej, niż ktokolwiek, choć byłby z nią nawet na bakier. Nie stroił się w kitel terapeuty społecznego, ani naprawiacza ludzkich (polskich) defektów. Był trzeźwym historiozofem, który obserwował i uczestniczył w sprawach godnych wstydu, choć też i dumy. Bo żeby postrzegać pełnię polskości, trzeba być trochę również nie-Polakiem. Obraz tej pełni Darowski posiadł bytując w świecie rodaków-emigrantów, gdzie jej wszystkie odcienie występowały szczególnie ostro.

Po pierwotnym urzeczeniu Giedroycia jego bezceremonialnym językiem, stał się rychło niewygodny dla paryskiej KULTURY w grach tam praktykowanych. Z kolei w ospałym środowisku brytyjskim nie znajdował partnerów. Pisał więcej niż publikował. Ta rosnąca ilość papierów, które prędzej czy później staną się „pośmiertne”, to w dużej mierze rachunek jego publicznego milczenia. Chyba postępującego. W jakimś spóźnionym porywie, wobec spustoszeń wieku i postępującej choroby, dał się nakłonić. Dał się raz jeszcze pchnąć w stronę papieru i pióra, a właściwie komputera. I to w czasie – tak sobie wyobrażam – gdy już nabierał świadomości, że twórczość pisarska, a głównie poetycka, zawodzi w komunikowaniu się z innym. Sporadycznie publikował to tu, to tam, ale wybór był właściwie niewielki. Po roku 1989 niektóre jego teksty trafiły na łamy krajowe. Mało. Nic

zatem dziwnego, że ostatecznie ciekawość poniosła go na ogólne sprawy ducha i ontologii, a szczególnie tej *paleo*, co nie znaczy wcale, że oślepł na rzeczywistość bieżącą. Tyle, że współczesność widziana z dystansu, podobnie jak ojczyzna czy naród, także jawi się ostrzej.

Gdy już jedna choroba za drugą utrudniała mu większą aktywność, jeszcze raz uruchomił potencjał swojego języka. Mogłoby tylko być nieco mniej wierszy. To znaczy – poezji. Tyle, że w pewnej jej części dostrzega się jednak jakby suchą zaprawę do esejów, w których tam ledwo muśnięte idee, symbole czy sprawy, nabiorą sensu i rozmachu. Przypomina mi się sąd Henryka Berezy, który na pewną ilość głupstw powiedział także pewną ilość rzeczy mądrych. Za jedną z nich uważam to zdanie, niejednego mogące wpędzić w konfuzję: „przeznaczeniem poezji jest proza". Wielu (większość!) poetów rzeczywistych oraz poetów tak zwanych, rozmija się – jaka szkoda! – z tym przeznaczeniem, dożywotnio pisząc duby smalone, lub – co wielokrotnie Darowskiego to śmieszyło, to oburzało – rozpisując się na temat własnej niemożności pisania. Od tej i innych bolączek ratować może poezję jej – zdaniem Berezy – przeznaczenie, czyli proza. W prozie nie ma taryfy ulgowej; ucieczki w znaczące (oby tylko!) niedomówienia, niedoróbki i całą tę estetykę, sprawiającą, że ostatecznie biel strony tylko nieznacznie pokryta jest drukiem. Naturalnie proza prozie – podobnie jak poezja poezji – nierówna, i by się nie posuwać za

daleko, wystarczy powiedzieć, że na jej płaszczyźnie egzamin jest bardziej surowy, mniej wyrozumiały dla poetyckiego farniente.

Skoro już się tutaj – *deus ex machina* – pojawił Bereza, narzuca się automatycznie pytanie – znał on aby pisma Darowskiego? Teoretycznie biorąc, znać powinien. Przynajmniej to, co ukazało się w TWÓRCZOŚCI za jego życia. Gdy żył, pewnie bym go o to nawet nie spytał, bo moje stosunki z Berezą właściwie były żadne. Ukłony na odległość, gdy przesiadywał w najbardziej cienistym kącie redakcji. Spoglądał stamtąd nieufnie, rojąc sobie może, że jestem dawnym mentorem Jerzego Illga, którego słowa go niegdyś dotkliwie zraniły, czemu zresztą zaprzeczał. Może domyślał się, lub ktoś niedelikatny mu powtórzył, że większość jego ONIRIADY odczytuję jako oniryczną mistyfikację. Grę towarzyską. Nie wiem. Wystarczał mi ten na odległość szacunek jakim go darzyłem i szczypta nieufności. Ale w sprawie Darowskiego, jak teraz myślę, sąd Berezy miałby wielkie znaczenie. Tyle, że proza Darowskiego chyba nie jest z gatunku, który Bereza mógł mieć na myśli. Czy w ogóle proza?

Raczej odpychanie poezji.

> Młodzieniec, myślący u nas o literackiej karierze, stara się najpierw zadebiutować tomikiem wierszy, zacząć jako ‘poeta’. To zawsze robi dobre wrażenie, a poza tym wie, że

> poezja jest »sprawą młodości«, fazą, z której się i tak wyrośnie.

Te słowa znajdziemy w eseju *Nieobecność i Kara* [*Eseje* s.25] napisanym w roku 1961, zanim ukazał się jego debiutancki zbiór wierszy, gdy Darowski (35 lat) mógł jeszcze od biedy myśleć o sobie „młodzieniec”.

Ale trochę dalej, w tym samym eseju:

> „Cokolwiek mógłbym rzecz o poezji” – pisał Julian Przyboś – „mogę potem odwrócić i jeszcze mieć rację, chociaż w innym układzie odczuwania poetyckiego”. Istotnie, każda wypowiedź o niej jest jakby globalna, a odwrócona też zasadniczo jest słuszna, bo pokazuje nam tylko inną hemisferę tej samej estetycznej całości. Nie tak jak w prozie, która ma się do słowa poetyckiego jak arytmetyka do geometrii, jak analiza do syntezy. Proza, w jej zasadniczej formie, nie jest strefą międzysłowia, niespłacalnych hipotek ontologicznych, wewnętrznych kryteriów [*Eseje* s.26].

Fot. Stuart Heath

Ten „falujący” i otwarty na przejściowe kryzysy stosunek Darowskiego do poezji i do siebie jako poety, przejawiał się przerwami w jego twórczości. A nawet – jeśli wierzyć słowom jego rozmówcy – prowadził go do deklaracji radykalnego jej zaprzestania. Ale deklaracje to jedno, a przymus wewnętrzny, to coś całkiem innego. W jednym z epizodów szpitalnych, ku jego własnemu zdumieniu, wylało się z Darowskiego kilkadziesiąt wierszy. W zbiorze *Niespodziewane żywoty* są one datowane, więc widać, że tutaj poetyckim katalizatorem był stan wojenny w Polsce. Pamiętam z tego czasu, że w krajowym świecie

podziemnych wydawnictw również nastąpił gwałtowny wylew twórczości poetyckiej. Głównie grafomańskiej. Bo tak to się wtedy wyrażał pobudzony patriotyzm, zraniona duma i narodowe urazy.

„Wiersze, jak wiersze, sprawnie napisane…” powtórzę raz jeszcze, ale więcej emocji i mentalnej korzyści znalazłem w eseju *O grafomanii i literaturze*, gdzie Darowski, zresztą bardzo dobrotliwie, wbija szpikulec adeptom jednego i drugiego. Zatem – furda poezja! To przecież tylko zabawa z językiem, którego celem ostatecznym jest proza. Myśl dorzeczna. O tylu ludziach większego i mniejszego formatu słyszałem (czytałem, lub sam pomyślałem): „mędrzec!”, że powtarzanie tego o Janie Darowskim tylko by mu przynosiło ujmę. Takiemu wprost wypada od czasu do czasu parać się mową wiązaną. Ale miarą jego rozmiaru nie te są interwały.

Więc poeta czy nie, przede wszystkim jednak człowiek (tu by się przydała wielka litera) języka polskiego, lekko zmąconego prowincjonalizmami, choć nie bardziej niż u Gombrowicza. Polak także, podobnie jak Gombrowicz, twórczo zwaśniony ze swoją polskością, ale z właściwie ustawioną poprzeczką. Krzywo patrzący na domniemaną wielkość swojej tożsamości. I z powodu tego domniemania nie całkiem szczęśliwy. „Szczęśliwe niewielkie narody” napisze w ostatniej linijce wiersza *Z kazań na niejasnej górze*. (*Poezje*, str.176), chyba wiedząc i widząc, jak pod

brzemieniem swojej wyobrażonej wielkości jego ojczyzna ledwo się trzyma na nogach. Ale co jeszcze poza językiem jest jego ojczyzną?

Coś takiego w tomie *Poezje* na stronie 157 czytam:

> Najlepsi – pod wozem
>
> na wozie – nawóz
>
> jak zawsze
>
> Nie wiem jakim cudem
>
> jeszcze Polska nie zginęła…
>
> którą oświeca przez trujące mgły
>
> raz pięść krwawa
>
> raz posmarowana łapa. (1982).

Jasno powiedziane. Jakim cudem, tego też nie wiem, ale – podobnie jak Darowski – temu, że cuda istnieją, zaprzeczyć nie mogę. Wiersz, jak wiersz.

Obiecałem, więc powracam do tego „że jednak polskość zobowiązuje.” Do czego? Jasnej odpowiedzi na to pytanie daremnie szukać u Darowskiego. Rozsiane w jego tekstach tu i tam, impresyjne spostrzeżenia odnośnie tej sprawy, to raczej uwagi poirytowanego racjonalisty, który z irracjonalnym układać się nie chce. Nieco światła na to Darowskiego przewrażliwienie rzuca pewien spór z Czesławem Miłoszem, który niegdyś z entuzjazmem rekomendował Darowskiego Giedroyciowi. Miłosz na łamach KULTURY, skomentował tekst z roku 1973, opublikowany w londyńskich WIADOMOŚCIACH.

> Artykuły jego [Darowskiego] są napaścią na dzieje całej Słowiańszczyzny i dzieje Polski i to od strony języka… Kto jest ciekaw riposty Darowskiego, kładącego noblistę na łopatki, ten ją znajdzie w *Esejach* od strony 159, ale tutaj chodzi o coś jeszcze innego; mianowicie o odpowiedź na pytanie, którą sami musimy złożyć z rozproszonych napomknień. „Dlaczego nie jesteśmy, kim być powinniśmy?” zapytuje Darowski w zakończeniu swych utarczek z Wielkim Poetą. I jeszcze: „…Kim chciałbym, żebyśmy się stali? A bo ja wiem? Wiem z grubsza, kim nie jesteśmy, a to już wydaje się być coś dużo za dużo na nerwy pewnych panów. Ale kim możemy się stać, tego może wolałbym nie wiedzieć, bo […] gdyby z nas ktokolwiek wiedział, to pewnie nie byłoby dla nas żadnej przyszłości wartej większego zachodu”.

Stać się. Wysublimować z siebie najlepsze. Przemieniać niskie w szlachetne. Czysta alchemia. Można pomyśleć, że Darowski naczytał się Junga. W jego księgozbiorze jest istotnie stare wydanie *Psychology and Religion* (1938), a nawet *The Tibetan Book of the Dead* z *Komentarzem psychologicznym* C.G.Junga, ale nic więcej. Poza tym Polakowi, skoro ma Jasną Górę i Ostrą Bramę, wręcz nie wypada parać się alchemią duchową i grzebać w mrokach kolektywnej nieświadomości. Niech sobie nurkuje w polszczyznę i w ten sposób doświadcza indywiduacji. I to jest właśnie sedno całego cudu. Bo Polska jest cała z języka, a czasem nawet wydawać się może, że wyłącznie z niego. Wobec chwiejnych miar i wszechobecnej niechęci; wobec gorzkiego rachunku, który zamykają „pośmiertne papiery Darowskiego", takie jest więc polskości zobowiązanie, by jej nie powierzać niepewnym instancjom, tylko najlepszemu z możliwych wzorów człowieczeństwa, wzięty z rejonów ponad, czy pozanarodowych. I równać ją – tę polskość – do niego raczej, niż wyświechtanych półprawd i iluzji.

Nie byłoby zasadne, by z tekstów Darowskiego wydobywać przede wszystkim to, w czym odzywa się jego troska o kraj, naród i język. To się oczywiście tam czuje, ale w zmiennym natężeniu, a z biegiem lat jego uwagę przykuwają atrakcje bardziej konkretne. Geologia, paleologia, prehistoria i krytyczna historiozofia w ogóle. A w tym naturalnie częste dawki psychologii, tej trafnej i tej błędnej. Gdy tak wyliczam dziedziny,

w które Darowski zaglądał, naprowadza mnie to na domysł, że może podobnie jak wiersze czy proza, nie mogące znaleźć wygodnego miejsca poza językiem polskim, tak i Polacy, Polska, polskość są tylko westybulem; pretekstem zaledwie by wejść (wyjść?) dalej, poza te wąskie kategorie, tylko pogłębiające nasz deficyt wolności. Wyjść ku humanistycznemu konceptowi człowieka „w ogóle". Że tak się stało z myślą Darowskiego, poza dużą ilością poszlak, mam tylko jeden dowód. A i ten niepewny, bo znany mi z drugiej ręki niejako, pośmiertny jak najbardziej, ale nieopublikowany esej *Chemia wolności*. Co zawiera, wiem z grubsza dzięki Magdalenie Boczkowskiej (Uniwersytet Śląski), która się tym zajmuje w rozprawie *Wokół eseju Kain i Abel. Kilka uwag*, opublikowanej we wspomnianych *Studiach i szkicach*…. Bo taki ostatecznie dał mu tytuł Darowski. Autorka przestudiowała maszynopis eseju, składającego się z czterech rozdziałów. Streszcza i hojnie cytuje, podsycając tylko czytelniczą ciekawość. Mam nadzieję, że kiedyś ten esej poznamy w całości. Lecz na razie mogę się tylko zachwycać tym, co mi się – chyba bezprawnie – roi. A równocześnie miętoszę w sobie pytanie, czy przed Jungiem, a może po nim, sięgnął Darowski po Hermanna Hesse. Nie po *Siddhartę*, *Wilka stepowego* czy *Das Glasperlenspiel*. Mam tu na myśli *Demiana*, gdzie ważnym symbolem gatunku ludzkiego jest kainowe piętno. I taki też jest punkt wyjściowy pierwszego rozdziału eseju, który ma tytuł *Homo habilis*. Kain dopuszcza się zbrodni, najpierwszej w biblijnej historii człowieka. Kulturozoficzne, miejscami wręcz

teologiczne komentarze Darowskiego rozciągają się na rozdziały: *Homo faber*, *Homo vastans*, i ostatni *Homo actor*.

Nie będę tu streszczał streszczenia, choć dla Boczkowskiej tok rozważań autora wydaje się na tyle przejrzysty, że sama jest gotowa dodać mu jeszcze jeden rozdział. Piąty. Dałaby mu tytuł *Homo solitarius* i składa się wyłącznie z wziętych skądinąd słów Darowskiego, który objawia się tu jako człowiek z początku nowej epoki. Epokę tę nazywa modnie – postchrześcijańską. I tak z jednej strony z Janem Darowskim, a z drugiej Zygmuntem Baumanem, pięknie konkluduje swoją rozprawę:

> Po pierwsze, bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dziś *homo solitarius*. Samotni w swych wyborach. Samotni w swych porażkach i zwycięstwach. W codziennych walkach. Sami wśród tłumu podobnie samych. Samotni w globalnej wiosce. Po drugie, jesteśmy dziećmi Kaina, dlatego – jak pisze Darowski – »nasze *contemptus mundi* jest pełne niewymownej rozpaczy«. Nikt jednak nigdy już nam nie udowodni, że będąc dziećmi Abla, żyłoby nam się lepiej.

Cóż więcej można powiedzieć niż ten, ni to dezyderat, ni modlitwę: Papiery pośmiertne! Zmartwychwstajcie!

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.

Melchior Wańkowicz z żoną i córką, 1960 r., fot. PAP.

Mirosława Pałaszewska

Znany pisarz i reportażysta Melchior Wańkowicz poznał swoją przyszłą żonę Zofię z Małagowskich w Krakowie w 1914 roku poprzez jej braci. Przyszły autor *Szczenięcych lat* i *Ziela na kraterze* kończył tam Szkołę Nauk Politycznych, a Zofia studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaręczyli się jeszcze tego samego roku. W grudniu 1914 napisał do Zofii:

> Ogarnia mnie zrozumiała, głupia i niepotrzebna duma. Patrząc na te wszystkie pary zaręczone i swatane na Litwie,

> na wszystkie panny i młodzież męską – i myśląc o nas – mam wrażenie, że to wszystko gdzieś tam w dole jest małe i nikczemne u nóg nam się roi.
>
> Wielki jest Pan Bóg i jakże rozliczne szczeble dusz ludzkich!
>
> Wracam na wieś; wracam po te parę słów od Pani, parę słów najobojętniejszych, które odsłonią mi może, co moja narzeczona myśli.

Pobrali się 8 lutego 1916 roku. Trzy lata później (8 października 1919) przychodzi na świat córka Krystyna, a 29 lipca 1921 roku – druga córka Marta (znana czytelnikom jako Tili). Przed narodzeniem Marty przyszły ojciec pisał 20 lipca: *To wprost fenomenalne rzeczy, co piszesz – jak jakiś cud Boży, jak kiełkowanie rośliny ten rozwój dziecka. Z głęboką czcią myślę o Tobie jako o matce.*

> Zofia Wańkowiczowa przebywa wówczas w Jerce, majątku dzierżawionym przez brata Melchiora – Witolda. Głowa rodziny mieszka w Warszawie przy ul. Elektoralnej 49/5. Korespondencja między małżonkami jest dość ożywiona. Bardzo ciekawe są listy pani Zofii cytujące zabawne powiedzenia i zachowania córek. Jesteśmy świadkami, jak dziewczynki rosną. *Twoje listy o dzieciach są moja najwyższą*

> *i jedyną właściwie przyjemnością* – podsumowuje Wańkowicz.

Proponując żonie przyjazd do Warszawy (po 6 latach małżeństwa) pisał:

> Będę oczekiwał u wyjścia na dworzec – zgięty u arkady nisko, niziutko – jeśli p. Fryze pójść poczekać pozwoli. Potem pocałuję w rękę i będę iść za Tobą do naszego domu, patrzeć na pochyłą linię szyi, gdzie rośnie ten najdelikatniejszy puch – i cicho cieszyć się. A w pewnej chwili Ty się odwrócisz i wejrzysz na mnie swoimi oczami jasnymi. Mój Boże!

A ona komentuje potem ten pobyt:

> Taki byłeś ładny, jak leżeliśmy na plaży w ostatni dzień wyjazdu mego. Chciałam Cię ucałować, ale się speszyłam. Obejmuję serdecznie.

Zachowane listy z okresu przedwojennego pani Zofia opatrzyła słowami:

> W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia.

Świadczą o tym słowa Melchiora, które przekazał Zofii jej ojciec:

> Mel upatruje w Tobie cnoty, przymioty, talenta prawdziwie wszelakie, o które ja, Ojciec, nawet nie podejrzewałem Cię.

Kiedy już zamieszkali razem w Warszawie on został Kingiem (podczas czytania dziewczynkom *W pustyni i w puszczy* na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci), ją nazywano Królikiem. W *Zielu na kraterze* Wańkowicz pisał*:*

> Mama-puszyste łapki – dzierżyła rządy tego Domeczku. Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi. Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko – Królik. To poszło od anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku – jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdławił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza – jak

> Boga kocham – to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem – o tak!”
>
> Ponieważ „wilk okropnie „zły” nieraz wybuchł: „Bo ty zawsze zaczynasz”, więc Mama została królikiem.

Miłość między małżonkami przetrwała. W czasie wojny byli daleko od siebie. Melchior Wańkowicz przekroczył we wrześniu 1939 granicę z maszyną do pisania. Znalazł się w Rumunii, dokąd 24 III 1940 przybywa jego córka Marta. Potem trafia na Cypr, wyjeżdża do Palestyny, pracuje jako korespondent wojenny we Włoszech. Ona całą okupację spędza wraz z drugą córką (poległą w czasie powstania) w Warszawie. Spotkają się znowu 24 XII 1945, kiedy to Zofia przybywa do Włoch. Następny etap w ich życiu to domek na Ealingu w Londynie, kolejny wyjazd – tym razem za ocean – do Stanów Zjednoczonych. Listy do małżonki pisuje podczas objazdu Kanady (8 IX – 16 XII 1950). Odwiedza kraj w 1956 roku, a dwa lata później małżonkowie już na stałe wracają do kraju. I znowu listy z objazdu (tury odczytowej), tym razem po Polsce. Potem listy nieliczne są wysyłane do szpitala, gdzie przebywa pani Zofia. Ostatnia kartka została napisana przez pisarza 22 I 1968 roku:

> tak się każdy wyśpi,

> Jak se pościele,
>
> No i moje wyjście
>
> Przespałaś Aniele.
>
> Idę do Biblioteki
>
> Znaczy Narodowej,
>
> Mimo Twoje skrzeki
>
> Brać olej do głowy.

Zofia Wańkowiczowa zmarła 20 maja 1969 roku. W jakiś czas potem Pan Melchior rozesłał do znajomych i przyjaciół jakże piękne podziękowanie:

> Dziękuję za słowa żalu po śmierci Żony rodzinie, kolegom, przyjaciołom i znajomym, redakcjom, wydawnictwom, stowarzyszeniom i instytucjom.
>
> Dziękuję za listy czytelników, którzy pod niefrasobliwym tekstem książek zrozumieli, że to o towarzyszu życia kochanym, potrzebnym, koniecznym. Listy były tak

> przejmujące, jakby pisali o kimś najbliższym.
>
> Już Jej nie pokażę tych listów z Polski i ze świata, już jej nie będę mógł powiedzieć, jak pojedynczo składane kwiatki pokryły wieńce ze wstęgami.
>
> To już tylko dla mnie ta otucha, te nieraz nieporadne listy, te koperty bez właściwego adresu, na których wypisano słowa pełne dobroci.
>
> Dziękuję, całym sercem za Króliczka. Ale go już nie ma.
>
> Wsparliście mnie w tych najcięższych dniach utraty tej, która towarzyszyła mi pięćdziesiąt trzy lata, a której nie stało u kresu pisarstwa.

Rzeczywiście, Zofia Wańkowiczowa była dla swojego małżonka partnerem i towarzyszką życia przez te wszystkie lata. Świadczą o tym listy, jakie pisali do siebie będąc w oddaleniu. Ona pisała do Niego:

> 29 VII 1940: Tak Ciebie kocham. I dzieci.
>
> 4 X 1940. Mam zawsze Twój list w torebce, aby się przytulić, i list Małej, aby się uśmiechnąć. A 11 X 1940: Tak bym się

> chciała do Ciebie przytulić, bo ucho boli i dokucza głuchota, i trudno pracować.

On listy do Niej rozpoczyna:

> Najdroższe Moje (i milutkie) Kochanie; Kochana Zosieńko; Zosinku Mój Drogi! Moja Maleńka; Moja Miła, Moja Kochana, Kochana Mojuśka. W liście z 1966 roku, a więc w pół wieku po ślubie pisze: Myślę o Tobie ciągle, jestem ciągle przy Tobie i chciałbym, żebyśmy już jak najprędzej się połączyli.

Ale listy te mówią jeszcze wiele o ich życiu, prostują obiegowe opinie o dostatnim życiu pisarza. Są wspaniałym uzupełnieniem utrwalonych na kartach Jego książek. Jest to lektura fascynująca.

Rodzina Wańkowiczów odchodzi w przeszłość. 6 sierpnia 1944 zginęła córka Krystyna. Pani Zofia zmarła 29 maja 1969, Melchior 10 września 1974 roku. Nie żyje też córka Marta (Erdman) i jej mąż Jan Erdman. W 2004 roku umarł Tadeusz Walendowski (27 lutego 2004), a niecałe dwa tygodnie później (10 marca 2004) jego żona Anna Erdman, wnuczka Melchiora.

Oby znalazły się oficyny, które zechcą wydawać książki tego

wspaniałego reportażysty. By kolejne pokolenia poznawały historię Polski widziane oczyma świadków.

*

Korespondencja pisarza mogła się ukazać dzięki wieloletnim zabiegom Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, której pisarz zapisał swoje archiwum. Już wcześniej opublikowała korespondencję pisarza z Czesławem Miłoszem (na łamach „Twórczości” 1981 nr 10; w II obiegu wydał ją „Głos” w 1986 roku). Nakładem Czytelnika ukazała się w jej opracowaniu w 2000 roku korespondencja z Jerzym Giedroyciem (*Listy 1945-1963)* w serii *Archiwum „Kultury”.* Wcześniej (1993) „Twój Styl” wydał *Korespondencję* Melchiora i Krystyny Wańkowiczów (Ojca z córką). Udostępniła też niżej podpisanej korespondencję Melchiora Wańkowicza i Zofii Kossak (opublikowaną w „Twórczości” 1997 nr 6).

Pani Aleksandra (czy *Oleńka od Wańkowicza*, jak nazwał ją jeden z czytelników) niedługo po śmierci pisarza nauczyła się odczytywać rękopisy i zaczęła przepisywać na maszynie (to nie była epoka komputerów) zachowaną korespondencję małżonków. Wyszło jej ponad 1000 stron. Kołatała do drzwi wielu wydawców. Trzykrotnie podpisała umowę. Dopiero „Twój Styl” zrealizował umowę wydając w dwóch eleganckich tomach, w twardej oprawie całą korespondencję, bez żadnego skreślenia**.** Pozostaje

tylko żal, że nie wszystkie listy się zachowały. Listy te są wspaniałym uzupełnieniem *Ziela na kraterze*.

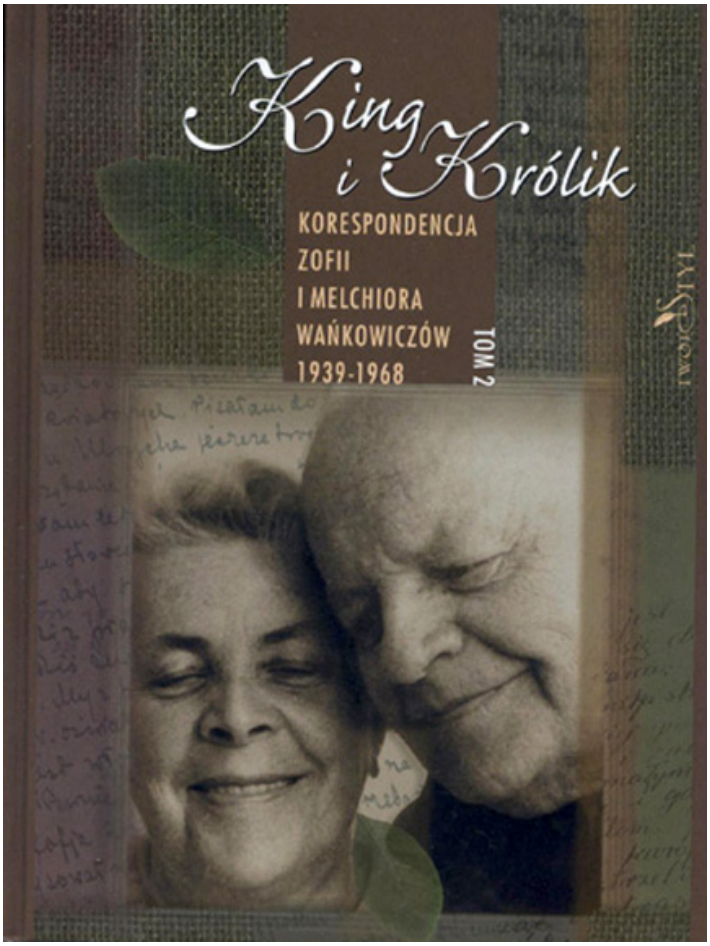

King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów. T.1: 1914-1939, t.2: 1939-1968. Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Warszawa 2004 r., Twój Styl.

Recenzja ukazała się w „Liście oceaniczny" – dodatku kulturalnym „Gazety", pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, Toronto, nr 25, styczeń 2005 r.

„Siedem rozmów o poezji” – Floriana Śmiei dialogi z poetami

Recenzja książki

Na Culture Avenue pojawiły się dwie rozmowy o poezji Floriana Śmieji – z Wacławem Iwaniukiem oraz z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem. Obie znalazły się w książce „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, w Toronto w 1990 roku. Publikacja ta jest ważnym przyczynkiem do analizy procesów, przez które przechodziła współczesna poezja polska. Mimo, że rozmowy były przeprowadzone wiele lat temu, wnikliwe obserwacje interlokutorów nie zdezaktualizowały się.

Redakcja

Grażyna Maroszczuk

Siedem rozmów o poezji **Floriana Śmiei** – książkę opublikowaną w Toronto w 1990 roku – tworzą dialogi spisane na gorąco i rejestrujące, jak powie autor przedsięwzięcia, rozważania poświęcone poezji, sposobom jej przeżywania, sylwetkom poetów znanych i mniej znanych odbiorcy, artystów tworzących w kraju i na emigracji. Nie łatwo przesądzić, co łączy rozmowy zarejestrowane w różnych miejscach i w różnym czasie. Zamysł konstrukcyjny całości charakteryzuje pewna przypadkowość.

> Stwierdzenie starożytnych „verba volant, scipta manent", że należy ulotne słowa spisać, i dzisiaj nie straciło na aktualności. Dotyczy to również spontanicznych rozmów o literaturze .
>
> Przed laty powziąłem myśl, by sporadycznie przejeżdżających przez London Ontario, przyjaciół i znajomych nagrywać, gdy tylko rozmowa zejdzie na tematy związane z poezją. Z czasem doszedłem do wniosku, że te odruchowe i szybkie wypowiedzi są interesujące i że warte są utrwalenia i udostępnienia innym […].
>
> Rozmowy nie były planowane. Uważny czytelnik bez trudu odczuje brak spójności między nimi. Z kolei dzięki temu,

> osiągam coś, co też jest wartością: spontaniczność, chwytanie na gorąco chwili, przekształcanie się falującej intuicji w słowa szukające prawdy. [1]

Wybór padł w tym wypadku na rozmowy, w których jednym z podmiotów wymiany są poeci, prozaicy, historycy literatury, redaktorzy emigracyjnych pism kulturalno-literackich, wykładowcy: **Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ihnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Wacław Iwaniuk** a „gospodarzem instytucjonalnym" całości jest poeta, wykładowca, tłumacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, eseista, redaktor naczelny londyńskich pism emigracyjnych „Nowy Merkuriusz" i „Kontynenty" – **Florian Śmieja**. Poeta, który ma za sobą trudną drogę na obczyznę, co powoduje, że relacja emigracja – kraj, przetransponowana do poetyckich utworów artysty zaznaczona jest silnie także w innych przekrojach autokomentarzy literata, w jego twórczości wspomnieniowej i paraliterackiej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły biograficzne pozwalające właściwie docenić silną, emocjonalną więź humanisty z ojczyzną. Rozmowy o poezji trudno jednak czytać bez świadomości tego kontekstu, bez zrozumienia trudnej sytuacji emigracyjnego poczucia obcości. Bez ciekawości spraw polskiej kultury, jaka

leży u podstaw przedsięwzięcia, zapewne nie powstałyby dialogi, które zebrane zostały w formie publikacji zwartej. Interesuje mnie zatem, jak poeta pojmuje zobowiązania paraliterackich tekstów. Wszak paratekstowe komentarze zamieszczone we wstępnych rozważaniach animatora dialogów wiążą się między innymi z pytaniem, jak czytać dialogi o poezji. Są one zapisem selektywnej i wybiórczej pamięci, która fałszuje obraz przeszłości. Jednocześnie pamięć ta w sytuacji psychicznej emigranta krystalizuje poczucie tożsamości.

Lekturę siedmiu dialogów rozpocząć należy od *Słowa wstępnego*. Nie sposób nie zauważyć, że metatekstowe wypowiedzi poety i gospodarza instytucjonalnego spotkań, konsekwentnie przypominają o takich wartościach dialogów, jak świeżość aktualnego spojrzenia interlokutorów, fragmentaryczność wyselekcjonowanych epizodów, z drugiej zaś spontaniczność zapisów, zachowanie dynamizmu chwili żywej rozmowy i bezpośredniość kontaktu, która kompensować ma „nieuniknione w takim wypadku niedociągnięcia i usterki”[2]. Sprzeczności, na których rozmowy są zbudowane, trudności w rejestracji mówionego-pisanego świadomość tę jedynie pogłębiają. Autor wstępu sygnalizuje obawy, które towarzyszą opracowaniu materiału. W autoryzacji materiał spisany na gorąco poddany zostanie retuszom, intelektualna rutyna wpłynie na „esencjonalność dorywczego spojrzenia”[3] „mówionego” i zastąpi go skrupulatną korektą „pisanego”.

Z drugiej wszak strony pozostaje szacunek dla pracowitości, skrupulatności zapisu, którym człowiek „umiejący pracować nad słowem” potwierdza swoją rzetelność i szacunek do literatury. „Skrzętny gospodarz sensu” – **Florian Śmieja** nie zapomina przecież o poznawczym, porządkującym trybie „wywiadywania się” i rejestrowania informacji. Odbiorca znajdzie w *Słowie wstępnym* dane na temat genezy rozmów. Biogramy i krótkie noty o ważnych pozycjach dorobku naukowego i artystycznego interlokutorów pełnią tu rolę informacyjnej introdukcji. Siła różnych punktów widzenia, rozpiętość czasowa i zmienność miejsc rejestrowanych na taśmie spotkań (Toronto, Cambridge, Massachusetts, Warszawa) przybliżać mogą w miarę obiektywny obraz rzeczywistości rekonstruowanej po latach w dialogach. Wystarczy przeczytać informacje o miejscu i czasie nagrywanych spotkań, przywołujących odległe konteksty. Przypomnijmy, że rozmowy zebrane w porządku numerycznym rejestrują spotkania z lat siedemdziesiątych. Datą tą opatrzone zostały inicjujące kolejne spotkania, jak informuje autor wstępu, dialogi z **Januszem Ihnatowiczem** poświęcone wspomnieniom czasów „Kontynentów”. Zarejestrowane na taśmie spotkania z **Tymonem Terleckim, Stanisławem Barańczakiem i Krzysztofem Lisowskim** odbyły się w połowie lat osiemdziesiątych. Wreszcie finalizujące książkę dialogi z **Julią Hartwig, Arturem Międzyrzeckim i Wacławem Iwaniukiem** pochodzą z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Dialogi **Floriana Śmiei** z poetami ukazały się w 1990 roku. O karierze form dwuautorskich w trudnych latach transformacji drugiej dekady pisano wiele. Aleksander Główczewski w książce *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…."*[4] analizował przyczyny sukcesu form dwuautorskich, wywiadów z poetami, pisarzami, politykami. Dla badacza umownym punktem początkowym popularności tekstów interlokucyjnych był przełom 1989/1990 roku – jak twierdzi autor monumentalnego studium – są to lata publikacji *Mojego wieku* Aleksandra Wata (pierwszego wydania książki w oficjalnym obiegu). Badacz wskazuje jednocześnie na przyczyny popularności wywiadów książkowych. Jest tu miejsce na informacje szczególnego rodzaju: dotychczas z różnych względów niedostępnych czytelnikowi. Jest miejsce na poszerzenie

> przestrzeni komunikacji, zdeterminowanej m. in. obowiązującą w danym czasie doktryną polityczną i ideologiczną (…)[5].

Efektem tak ukierunkowanych zmian było „odblokowanie informacji". **Florian Śmieja** przypomina o dokumentującej i poznawczej roli dyskursywnych komentarzy, inaczej trafiających do odbiorcy emigracyjnego, niż „mało chodliwe"[6] w rozumieniu wydawców, aspektowe dyskusje, debaty, odczyty na temat poezji[7]. Walory informacyjne tych przedsięwzięć grają rolę

szczególną. Wiążą się z możliwością zaprezentowania mówiącego „ja”, który w obecności Drugiego współtworzy namysł nad życiem, twórczością, doświadczaniem trudów tworzenia w zmiennych sytuacjach historycznych w kraju i na emigracji. Można wstępnie założyć, że istotną rolę w wywiadach zajmowałby dziennikarski punkt widzenia z prawem do oryginalności komentarzy, przede wszystkim umiejętnością utrzymania uwagi odbiorcy na sprawach mało mu znanych. Ale kłopotliwa bliskość literatury i dziennikarstwa w badaniach literaturoznawców i medioznawców pozostaje kwestią ciągle otwartą. Nie można lekceważyć faktu, że pytający jest poetą. Jako poeta interlokutor ciekawy będzie świadomości autorów, tego jak widzieli i widzą swój czas i rzeczywistość, w której przyszło im tworzyć. Chodzi przecież o sposób przeżywania poezji, trudne wybory artystyczne. O te kwestie poeta pyta najczęściej. Potrzeba weryfikowania tego, jak artyści pamiętają swoją przeszłość wydaje tu się mniej istotna. Okoliczności nagrań wyjaśnia komentarz wstępny:

> W prezentowanych tekstach występuje rozmówca-poeta, rozmówca- pisarz […] jako uczestnik życia literackiego, nie krytyk czy historyk literatury[8].

Rolą pytającego jest raczej wywoływanie wspomnień, zatem świadomość tego, który pyta może na swój sposób korygować

interpretację monologizujących, może wyzwalać mowny potencjał rozmówcy, który próbuje porządkowania własnej przeszłości.

> W takiej sytuacji nie było właściwe prezentowanie systematycznie przygotowanych pytań. Zadawałem więc ogólne i niepodchwytliwe, a i też nie zawsze, jeśli tylko rozmowa nabierała rozpędu. Próbowałem raczej asystować przy wyłanianiu się wspomnień i osądów, nie przerywałem i nieraz wolałem nie stawiać pytań, jeśli rozmówca samorzutnie poruszał kwestię, choćby nawet nie rozwijały wcześniej rozpoczętej myśli.[9]

Metatekstowy fragment wprowadza czytelnika w świat lektury wywiadów, w których nie ściśle naukowy, nie dziennikarski punkt widzenia zdominował przekaz o sztuce i życiu literackim. Nie zawsze działa tu właściwe wywiadowczym praktykom prawo ekonomii uwagi. Rozmówcy pozwalają sobie na dygresje, usprawiedliwiają potrzebę retardacyjnego opóźniania rozmowy, wtedy gdy rejestracji domaga się nawet mniej ważny epizod, reminiscencja, asocjacja czy rozbudowany, metatekstowy komentarz. **Tymon Terlecki** na marginesie wywodu poświęconego wspomnieniom Leśmiana dopowie:

> Wspominanie wymaga pewnych okoliczności. To nie jest aktywność psychiczna, którą można mieć na zawołanie. Są czasami irracjonalne okoliczności które powodują, że otwierają się jakieś śluzy, że wyskakują jakieś skojarzenia. Tutaj zupełnie niespodziewanie dla siebie opowiedziałem te historię o Leśmianie, którą uważam za przynależną do historii recepcji tego poety[10].

Co do planu treści nie chodzi tylko o rejestrację, dokumentację wydarzeń, proste odwzorowywanie świata i różnorako uwikłaną, ograniczoną interpretację faktów. Mniej wyraźne wydaje się dążenie do maksymalnego zobiektywizowania wypowiedzi. Wartością literatury jest afirmacja emocji i potrzeba kontrolowania ambicji intelektualnych. Dlatego wrażliwość poety, dająca o sobie znać w komentarzach wstępu, pozwala wydobyć walory wspomnieniowych ewokacji interlokutorów:

> […] rozmówcy nie używają aseptycznego żargonu naukowego, który tak skutecznie odstrasza czytelnika[11]

– przypomina **Florian Śmieja** w kolejnej autoeksplikacji. Tym samym uznaje ważną dla gatunku świadomość przystępności komunikowanych treści rozmów, które są – powtórzmy za Anną

Łebkowską „rozmowami dla”, rozmowami dla odbiorcy[12]. Komentatorzy gatunku pisali o sprzecznościach tkwiących w tekstach mówionych pisanych. Ta świadomość mówionego-pisanego towarzyszyła pracom nad redagowaniem rozmów. **Florian Śmieja** umieści w paratekstowej formule wstępu komentarz dotyczący kłopotliwości rejestracji dialogów, trudności natury technicznej:

> Oczywiście powstał dylemat czy należało dać autorom tekst do wglądu przed drukiem, istniała bowiem obawa, że rozmówcy będą się starali ulepszyć esencjonalność dorywczego widzenia skrupulatnymi refleksjami i intelektualną rutyną[13].

Umiejętność pracy nad słowem, którą można odnieść do wszystkich rozmówców zagrażałaby – zdaniem autora wstępu – żywiołowi spontanicznej rozmowy.

Florian Śmieja z Niną Taylor-Terlecką, żoną Tymona Terleckiego, Oxford, 2004 r., fot. arch. Floriana Śmieji.

Rzecz tę warto zobaczyć w perspektywie, którą nakreśla animator przedsięwzięcia. Autor wstępu sygnalizuje w kolejnym fragmencie wagę wspomnieniowych ewokacji w dialogach rekonstruujących przeszłość powojenną. Retrospektywy poświęcone zapamiętanym miejscom i ludziom pojawiają się w komentarzach **Tymona Terleckiego** i **Wacława Iwaniuka**.

Tymon Terlecki na marginesie wywodu zastanawia się, nad

mechanizmem rozpamiętywania inspiracji twórczych, które ukształtowały wrażliwość literata i bliskich mu „współleśmianistów”, bo tak krytyk nazywa fascynację lwowskich poetów poezją **Bolesława Leśmiana:**

> Dla Leśmiana życie to było naprawdę przez największe „Ż”, obejmujące jakieś najdalsze perspektywy i psychologiczne i metafizyczne, kontemplację i złożoność, tragiczność, wieloznaczność faktu istnienia […]
>
> Przeżycie nasze Leśmiana było tak swoiste, tak głębokie, tak jakoś subiektywnie natężone, tak pobudzane przez okoliczności życia Zakopanego, sanatoriów, w których spędzaliśmy miesiące i lata przez naszą chorobę […][14].

W rozmowie z **Tymonem Terleckim**, krytykiem, historykiem teatru i literatury, redaktorem „Polski Walczącej” – wyłania się wspomnieniowy fragment przedwojennego, rodzinnego Lwowa. Środowisko lwowskich poetów i uczestników wieczorów Kasyna Literacko – Artystycznego. **Stanisław Maykowski** i **Henryk Bald**, literaci mało znani współczesnemu odbiorcy, nie odnotowani w antologiach poetyckich. Kontekstowy charakter rozmowy, nieznane biogramy, szczegóły, nazwiska dopełnia komentarz na temat osiągnięć innowatorów poezji międzywojnia. Szczególnie tych, którzy odcisnęli swój ślad w krytycznych

pracach interlokutora: **Józef Wittlin, Bolesław Leśmian**, poeci **Skamandra**. We wszystkich rozmowach przewija się refleksja o osobowościach, które wpłynęły na sposób przeżywania liryki przez humanistę. W komentarzu interlokutora przywołane zostaną krytyczne refleksje uczonych na temat Młodej Polski Lwowa i wyrastających z jej inspiracji wielkich projektów kultury polskiej. Nie bez znaczenia dla tego obrazu będzie zaznaczone w tym miejscu wspomnienie **Stanisława Brzozowskiego** autora *Legendy Młodej Polski*. Zasygnalizowana na marginesie wspomnieniowego komentarza, wydobyta po latach, mało znana czytelnikowi, lakoniczna reminiscencja na temat „lwowskiego zaśpiewu" **Irzykowskiego**, utrwalona w pamięci interlokutora i wspólnych rozmów z autorem „Pałuby". W tle fragmentarycznej rozmowy uwagę zwraca krytyczna świadomość odbiorców i związany z gestem porządkującym wypowiedzi repetycyjny charakter komentarza o przeszłości w odniesieniu do tego, co już zostało przemyślane, wcześniej powiedziane, napisane. Zależność ta ujawni się w nawiązaniu autokomentarza do londyńskiego odczytu, w którym **Tymon Terlecki** wzbogacił o nowe warianty terminologię periodyzacji modernizmu:

> W odczycie, który miałem w Londynie, myślę, że zdołałem wylansować ten termin Młodej Polski lwowskiej. Bo jest Młoda Polska zakopiańska, Młoda Polska krakowska, Młoda Polska warszawska […][15].

Następny autokomentarz dopełnia wspomnienie przyjaźni humanisty z **Kazimierzem Wierzyńskim**, z czasów warszawskich, kiedy poeta był recenzentem teatralnym „Gazety Polskiej”.

> W Polsce Wierzyński odnalazł mnie jako młodego, obiecującego literata we Lwowie, kiedy bardzo krótko redagował świetny tygodnik „Kultura” […][16].

I dalej sugestywny opis osobowości poety, który zaważył na kulturze duchowej rozmówcy:

> Tu mógłbym tylko same banały opowiadać, jakie to było zjawisko nieodpartego uroku ludzkiego, męskiego, towarzyskiego. Wtedy w Zakopanem nawiązała się pewna znajomość, jedna z tysięcy, jakie Wierzyński zawierał, bo on miał przy swojej męskości jakąś niesłychaną, nienasyconą, kobiecą zaborczość zjednywania sobie ludzi, czarowania zagarniania w cień swego uroku. Tam uległem temu urokowi[17].

To powoduje, że świat wartości poety nabiera cech dominujących, zdaje się być wszystkim, co dla niego ważne.

Dobór rozmówców wiąże się także z pytaniem o gest porządkujący, o sposób docierania do osoby twórcy. Odrębność rozmów – o czym wspomina we wstępie redaktor tomu – dotyczy stylu wypowiedzi, strategii ujawniania się „ja” mówiącego lub komentarzy, które mogą być wypadkową chwili, psychicznych predyspozycji interlokutora. Lektura tekstów skłania do namysłu czym były dialogi wtedy, czym są po wielu latach:

> Doszedłem niemniej do przekonania, że coś się z nich ostanie, że nie wszystko się przedawni, że nieuniknione w takim przypadku niedociągnięcia i usterki kompensuje świeżość oraz spontaniczność wypowiedzi[18].

Świadomość tego, który pyta musi oddziaływać na idiosynkrazje bohaterów spotkań, którzy podejmują wysiłek nazwania rzeczy, sproblematyzowania zjawisk i ich wyjaśnienia przy samoświadomości ograniczeń memuarystycznej pamięci. Ciekawość innej optyki widzenia rzeczy „z perspektywy Kraju” pojawia się w pytaniach kierowanych do wszystkich interlokutorów. Wydaje się, że starania pytającego inicjujące dialogi o poezji pozornie ustalają kierunkową rozmowy. Ale słowa odbijają się od słów, natłok dygresji, epizodów związanych z przeszłością wyzwala „swobodną grę wspomnień”[19] a interlokutorzy, odnotuje autor wstępu, wciągnięci zostaną w dialektykę sytuacji, gdy odpowiedź jest równoczesna z pytaniem.

Pograniczny charakter rozmów, samoświadomość mówionego-pisanego nie zawsze towarzyszy funkcjonalistycznie czytanym wywiadom-rozmowom, w których czytelnik poszukuje informacji niedostępnych poza wyznaniowo-informacyjnym komentarzem, formułowanym w obecności Drugiego. Tak jest w wywiadzie z **Jerzym Pietrkiewiczem** komentującym osiągnięcia artystyczne kolegów po piórze. Interlokutorzy przypominają sylwetkę **Bogumiła Andrzejewskiego, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Bednarczyka.** Interpretacje i poglądy poetów nabierają cech sugestywnych, nawet jeśli są tylko fragmentaryczną projekcją, nie obejmującą całości polskiego życia kulturalnego i duchowego w kraju i na emigracji.

Zebrane wypowiedzi zapewne stanowią źródło interesującego autokomentarza autobiograficznego, metatekstowego, historycznego. Znajdziemy tu wyczerpujące dyskursywne komentarze. **Stanisław Barańczak** zapytany w Cambridge w 1983 roku o poetykę twórczości nowofalowej daje syntetyczny „miniwykład" na temat interesującego rozmówców ruchu programowego, ważnych, lirycznych głosów pokolenia i młodych kontynuatorów dykcji nowofalowej. Rolę czynnego rozmówcy przyjmuje autor *Korekty twarzy* w komentarzach dotyczących roli pism kulturalno-literackich, między innymi „Zeszytów Literackich", tytułu integrującego środowiska pisarzy krajowych i emigracyjnych. Gest porządkujący charakteryzuje wypowiedzi **Julii Hartwig** i **Artura Międzyrzeckiego** współtworzących

eseistyczny wywód na temat grup poetyckich międzywojnia i poezji powojennej widzianej w syntetycznym uogólnieniu i w perspektywie ważnych dat, które dają wgląd w przełomy polskiego życia kulturalno-literackiego. Przeważają w tym fragmencie pytania o dopełnienie w mozolnym docieraniu do obrazu nieznanego gospodarzowi przebywającego w tym czasie na emigracji. Pojawiają się pytania dotyczące politycznego, ekonomicznego i kulturalnego wizerunku Polski, który przechowała pamięć interlokutorów. Sposób prezentowania poglądów poetów, chłodnego ważenia racji rozmówców zmienia się, gdy pytający prosi o komentarz do sytuacji współczesnej środowisk poetyckich w Polsce. Tu spokój argumentacji nie może do końca przezwyciężyć emocji związanych z troską o przetrwanie kultury narodowej, wartości moralnych, poszukiwania hierarchii wartości autentycznych, bez których liryka zdaniem dialogizujących poetów nie może się obyć. Mamy zatem w antologii wywiadów do czynienia z problemowym uporządkowaniem i wspomnieniową „mitologiczną *genezis* świadomości bohaterów dialogów”[20].

Wywiady z pisarzem i dialogi poety z poetami w kontekście innych dokonań artystycznych humanistów dowodzą zainteresowania, wrażliwości emocjonalnej i potrzeby uczestnictwa emigracyjnego twórcy w życiu bieżącym kraju – przypominał Zbigniew Andres w szkicu *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei****[21]****.*

Trudno dziś bowiem nie docenić informacyjnej roli dwuautorskich, samoświadomych autoanaliz i interpretacji, wpisanych w gest porządkujący, dociekań dość ważnych z punktu widzenia wiedzy o literaturze. W rezultacie tych spotkań otrzymujemy wcale nie mały kontekst dopowiedzeń biograficznych, socjologicznych i interpretacyjnych.

---

[1] Wszystkie cytaty za edycją: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji.* Toronto 1990.

[2] Ibidem, s. 9.

[3] Ibidem.

[4] A. Główczewski, *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…”*, Toruń 2005.

[5] Ibidem s. 232.

[6] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne*…s. 10.

[7] Ibidem.

[8] F. Śmieja: *Siedem rozmów o poezji*…s. 9.

[9] Ibidem, s. 8.

[10] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów… s. 22.

[11] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne…,* s. 9.

[12] A. Łebkowska: *Rozmowy z pisarzem – analiza gatunku,* [w:] *Kryzys czy przełom. Studia z teorii i historii literatury*, pod red. M. Lubelskiej i A. Łebkowskiej, Kraków 1994, s. 175–18; A. Główczewski: *Poetyka i pragmatyka „rozmów z …”*, Toruń 2005; K. Maciąg: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”,* Rzeszów 2001. S. Bereś: *Historia literatury polskiej w rozmowach XX–XXI wiek,* Warszawa 2003, s.13. B. Witosz: *Stylistyka prozy interlokucyjnej – uwagi wprowadzające,* [w:] *„Język Artystyczny”*, t.13: *Interakcyjny wymiar dyskursu artystycznego,* pod red. B. Witosz, Katowice 2007, s. 109.

[13] F. Śmieja, *Siedem dialogów*…s. 9.

[14] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów…, s. 21.

[15] Ibidem, s. 16.

[16] Ibidem, s. 19.

[17] F. Śmieja, *Słowo wstępne…*, s. 9.

[18] Ibidem.

[19] Ibidem.

[20] M. Kurek, J. Ziarkowska, *Wstęp*, [w:] *Rzeczywiste i możliwe. Rozmowy z Florianem Śmieją,* Wrocław 2005, s. 9. Por. też: G. Maroszczuk, *Rzeczywiste i możliwe – rozmowy z Florianem Śmieją,* [w:] *Literatura polska w Kandzie. Studia i szkice*, pod red. B. Szałasty-Rogowskiej, Katowice 2010, s. 121-124.

[21] Z. Andres, *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie*…s. 112-115.

Rozmowa o poezji

Julia Hartwig, Warszawa 2006 r. fot. Włodzimierz Wasyluk.

14 lipca 2017 roku, będąc u swojej córki Danieli w Gouldsboro w Pensylwanii, zmarła poetka, eseistka i tłumaczka, Julia Hartwig. Od 1954 roku była żoną poety i tłumacza Artura Międzyrzeckiego, zmarłego w 1996 roku. Obydwoje byli parą wybitnych twórców, którzy wnieśli duży wkład w rozwój współczesnej polskiej literatury.

Przypominamy rozmowę Floriana Śmieji, poety emigracyjnego, współtwórcy słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”,

z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem, która miała miejsce w Warszawie, w przeddzień wyborów 1989 roku. Zmiana sytuacji społeczno-politycznej w Polsce pociągnęła za sobą zmiany sytuacji poetów i poezji. Historyczna już rozmowa może być więc przyczynkiem do analizy nurtów literackich w powojennej literaturze, jest przekrojowa i obrazuje kondycję współczesnej poezji oraz jej różnorodnych uwarunkowań.

W 1989 roku zostało założone Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, które kontynuowało ideę Związku Zawodowego Literatów Polskich, powstałego z inicjatywy Stefana Żeromskiego. Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki byli współtwórcami Stowarzyszenia i bardzo zaangażowali się w jego działalność. W rozmowie pojawia się jakże aktualna wówczas sprawa powstania tej organizacji, gdyż dawała ona nadzieję na pełne poparcie dla polskich poetów i ich indywidualnej twórczości, zarówno w kraju, jak i za granicą. Bo literatura polska jest przecież jedna.

Redakcja

Wywiad wszedł w skład książki Floriana Śmieji p.t. „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, fot. Cz. Czapliński.

Naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny (Artur Międzyrzecki).

Florian Śmieja: Będziemy mówili o poezji powojennej widzianej z perspektywy Kraju. Ja byłem na Emigracji w czasie, kiedy w Polsce nastąpiły zmiany polityczne, a w konsekwencji również kulturalne, a więc i literackie. Niech mi Państwo opowiedzą, jak wyglądały pierwsze lata po wojnie w poeżji polskiej?

Artur Międzyrzecki: Pierwsze lata powojenne to była właściwie współobecność trzech pokoleń poetyckich. Działali jeszcze Skamandryci. Na Zachodzie obecni byli wtedy Lechoń, Wierzyński, Wittlin i Baliński. W Kraju – był Iwaszkiewicz, a po powrocie również Tuwim i Słonimski. Pokolenie Skamandrytów było więc jeszcze w komplecie. Z poetów pierwszej i drugiej Awangardy działali w Polsce Przyboś i Miłosz, który dopiero na początku lat pięćdziesiątych wybrał, jak to wtedy mówiono, wolność. Niewątpliwie pisali przywódcy tych dwu szkół. Zarówno więc na Zachodzie, jak i w Polsce przedstawiciele tych trzech formacji byli współobecni.

Nastąpił wtedy debiut tzw. pokolenia wojennego, takich poetów jak Tadeusz Różewicz czy Tadeusz Borowski, który później okazał się równie świetnym prozaikiem. Okres Stalina spowodował późniejsze objawienie się Zbigniewa Herberta, który wprawdzie jest nieco młodszy, ale także należy właściwie do wojennego pokolenia kombatantów. Nieporozumieniem jest wpisywanie go do tzw. pokolenia Współczesności. Tymoteusz Karpowicz, który działał we Wrocławiu, reprezentował tzw. poezję lingwistyczną. Obecne były poetki: Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Anna Kamieńska. Koło roku 1956 mieliśmy debiut Jarosława M. Rymkiewicza współtworzącego tzw. nurt neoklasyczny. Debiutował Stanisław Grochowiak, również przypisany do pokolenia Współczesności. Nie podaję kompletnych list, tylko nazwiska poetów wystarczająco

wyrazistych, żeby określić co się działo.

Następnie jest Nowa Fala, a przede wszystkim dwaj poeci: Stanisław Barańczak i Ryszard Krynicki, przyjaciele z Poznania, zajmujący niewątpliwie pierwszoplanowe pozycje. Wymieńmy jeszcze Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera. Wcześniej, koło roku 1954-55, Słonimski stał się niejako wyrazicielem opozycji obywatelskiej. Alianse układały się inaczej, nie wynikały z pokoleniowych przynależności. Przyjaźnie, które łączą poetów są i były związane z pewnymi postawami ogólniejszymi, Barańczak np. jest takim modelowym poetą o wspaniałej postawie moralnej. To nie są tylko sprawy poetyki. (...)

FS: Dorzućmy jeszcze nazwisko Jana Brzękowskiego z Awangardy Krakowskiej i Mariana Czuchnowskiego.

AM: Skoro mowa o okresach, o grupach poetyckich, wtedy pomija się nawet i znaczące nazwiska. Gdy mówiliśmy o pierwszej Awangardzie, zapomnieliśmy o Janie Brzękowskim, kiedy o drugiej, o Jerzym Zagórskim. Powojenne obecności poetyckie to również Wacław Iwaniuk i rozproszona później po świecie grupa londyńskich poetów, do której i Pan należał. To Adam Czerniawski, Bogdan Czaykowski czy Jerzy Sito, od lat działający w Kraju. Wśród pokolenia Współczesności nie wspomnieliśmy o Erneście Bryllu. Nie wspomnieliśmy też o legendach poetyckich, a one są nośne. Były przecież meteory,

które przeleciały przez niebo literatury. Mamy pisarzy, którzy stali się legendą. Wszyscy czterej skończyli tragiczną śmiercią. Mówię o Marku Hłasce, o Andrzeju Bursie, Rafale Wojaczku, o Edwardzie Stachurze. Trzeba o nich pamiętać. Mają ogromne oddziaływanie wśród młodych. I jeszcze o niesłychanym zjawisku odrębnym, autorze kilkunastu tomów poezji, męczenniku etymologii; który jak gdyby stworzył mówiony idiom poetycki, Mironie Białoszewskim. W innych wypadkach mówimy o kolokwializmach, w tym wypadku zachodzi tożsamość wyrazu poetyckiego i nowych warstw językowych. To był słuch językowy absolutny – i niebywała wrażliwość na szczegóły życia. I nie mamy do czynienia z czymś barbarzyńskim, Miron był zafascynowany poezją średniowieczną, Szekspirem i polską poezją romantyczną. Dał temu wyraz w swoim słynnym teatrze w kuchni. Później stał się ten teatr modny i teraz dopiero przedstawienia Mirona wystawiane są po raz wtóry, już w dużych teatrach, na dużej scenie. Miron Białoszewski był człowiekiem oddzielnym, stronił od życia publicznego. Był jednak solidarny ze środowiskiem. Kiedy dowiedział się np., że poeci nie biorą udziału w Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, bo usunięto z tego festiwalu źle widzianych autorów, przyłączał się do bojkotu i – jak to określał – ogłaszał strajk. Ten samotny wędrowiec po Warszawie był zawsze tożsamy z tym, co robił. Fascynacja poezją średniowiecza i Szekspirem łączyła się z urzeczeniem wywieranym przez wielkomiejski folklor. Tworzyło to niepowtarzalną jedność z życiem Mirona. Poza tym wielu

poetów na świecie stara się o osiągnięcie ideału ubóstwa, tzw. poety ubogiego. W Stanach Zjednoczonych i zamożnych społeczeństwach Zachodu zjawisko jest wyraźne, to staranie się o obecność poza establishmentem, nawet literackim. Ale mało komu to się udaje. Miron to osiągnął. Był to człowiek nie poddający się żadnym blichtrom.

Julia Hartwig: Stosunkowo mało mówiliśmy o tradycjach poetyckich, na które powołują się nasi poeci, a poruszyliśmy właśnie przy Białoszewskim, który z pozoru jest taki kolokwialny i zdawałoby wyrasta z gleby języka jak samorodek. Przy nim mówiliśmy, i słusznie, o poezji średniowiecznej i romantycznej. Inni, jak Jastrun czy Przyboś, nie tylko w swojej twórczości, ale i w esejach poetyckch, ukazywali drogi, jakie łączyły ich z kręgiem oddziaływania Norwida i Mickiewicza. Podobnie bez zaplecza poezji barokowej nie do pomyślenia jest twórczość Grochowiaka, czy Jarosława Marka Rymkiewicza. Pozostaje tu cała ogromna strefa do omówienia.

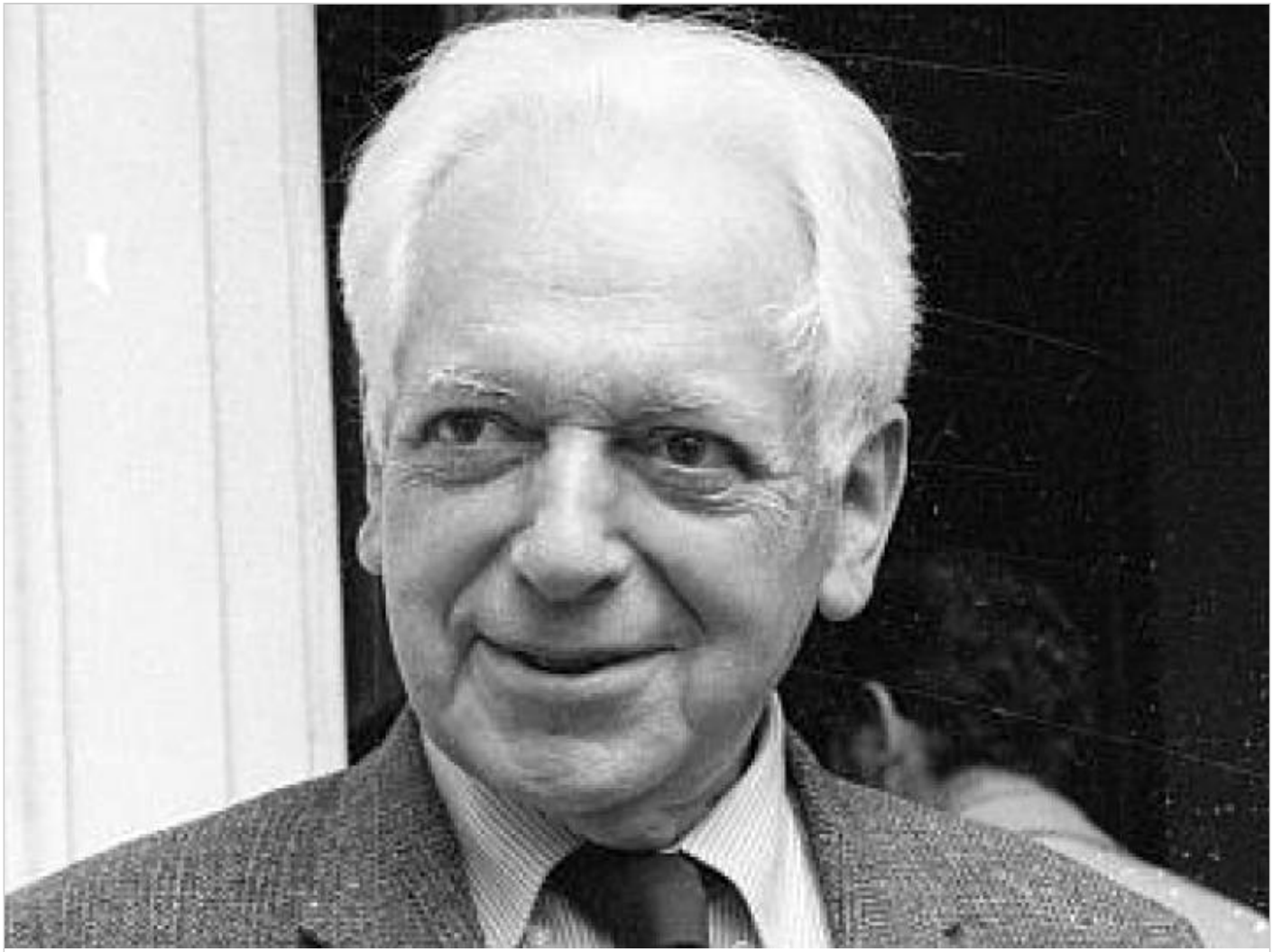

Artur Międzyrzecki, fot. dzieje.pl

AM: Przypomniało mi się spotkanie w Paryżu, w połowie lat sześćdziesiątych. Zetknęły się tam po latach różne światy, kiedy na zaproszenie wydawców antologii przyjechali Wierzyński, Miłosz, Przyboś, Iwaszkiewicz, Ważyk – dołączył do nas Herbert, który akurat bawił w Paryżu. Konstanty Jeleński i Brzękowski pełnili honory domu. Może o kimś zapomniałem. Ale to było spotkanie niezwykłe, bo było spotkaniem przedstawicieli poezji polskiej. Niektórzy z tych poetów po raz pierwszy się

poznali. Pamiętam, że któregoś wieczora toczyli rozmowę Wierzyński z Przybosiem. Coś mnie tknęło i zapytałem: – Czy panowie się znali przed wojną?. – Ależ nie. Poznaliśmy się dopiero teraz. Te światy, bardzo różne, współobecne były w tym okresie.

W latach 1956-58 znajdowało to również wyraz w prasie literackiej. To były żywe pisma, które, niestety, szybko skończyly żywot. Zanim to nastąpiło, przeżywaliśmy okres integracji w życiu kulturalnym, żeby istniały np. fakty poetyckie, istnieć musi pewna integracja środowiska literackiego. Powiedział onegdaj J.J. Szczepański, prezes nowozałożonego Stowanyszenia Pisarzy Polskich, że związki literatów nie są potrzebne literaturze, a szczególnie poezji. Natomiast poetom, tak. Ktoś musi ich drukować, muszą być jakieś hierarchie, jakieś osoby i instytucje, do których ma się zaufanie. Poza tym, w tradycji europejskiej, a w polskiej w szczególności, jest kawiarnia literacka, ognisko, gdzie ludzie się schodzą, mogą się zobaczyć. To wszystko znikło właściwie pod koniec lat sześćdziesiątych i ze stanem wojennym w 1981 r. Nastąpiło wówczas bardzo dotkliwe zniszczenie struktur życia literackiego, stowarzyszeń, czasopism, instytucji. Trudno to potem odbudować. Oczywiście, była taka przerwa w okresie stalinowskim, ale wtedy było to związane z ogólniejszym dramatem. Teraz było to zniszczenie struktur odbudowanych, tradycyjnych. Wobec tego powstał drugi obieg. I rozbudowało się czasopiśmiennictwo wynikłe z odporu

społecznego. Obecnie stoi z kolei przed nami sprawa integracji ogólnej, przede wszystkim autentycznego zespolenia literatury powstającej w Kraju i za granicą. Przecież to jest jedna literatura. W 1968 roku, kiedy mówiłem o niepodzielnej kulturze, stałem się czarną owcą. Ale jak daleko jesteśmy dziś od tamtych czasów! Jednakże – powtarzam – trudno odbudować to, co zniszczono. Nadal nie mamy autentycznego czasopiśmiennictwa literackiego, a Stowanyszenie, które powstało, a którego Pan jest członkiem, nie ma nawet pokoju, ani maszyny do pisania. Trzeba wszystko zaczynać od początku.

FS: Pani Julio, jak Pani się zapatruje na możliwości odbudowaniatego zdezintegrowanego środowiska poetyckiego? Pamiętam jeszcze Pani wieczór poetycki, nieomal konspiracyjny, który odbył się przy kościele na Nowym Rynku w czasie trwania stanu wojennego.

JH: Teraz wydaje mi się to wydarzeniem bardzo odległym, niemal historycznym, jesteśmy już na innym etapie. Zintegrowanie nie będzie wcale rzeczą łatwą, mimo że ludzie garną się do tworzenia wspólnoty pisarskiej, która zajęłaby należne sobie miejsce w naszej społeczności. Bardzo tego potrzebują. Trudności organizacyjne są ogromne, nie mamy jak dotąd własnego kąta, gdzie moglibyśmy się zebrać. Ale myślę, że i to osiągniemy. Natomiast integracja wewnętrzna to już coś innego, to wykracza poza przeszkody techniczne. Nie może ona

nastąpić tylko na zasadzie towarzyskiej czy przyjacielskiej. Wielki problem to – gdzie będziemy drukowali i jak bdzie wyglądała prasa literacka. Mówiło się na spotkaniu pisarzy, że w Polsce czasopiśmiennictwo jest opanowane przez redaktorów i zespoły powołane do życia w szczególnym okresie i w szczególnym celu. Zadaniem tych zespołów było dokonanie pewnego rodzaju rewolucji kulturalnej, wyłonienie pewnej elity w miejsce starej, nieposłusznej, która reprezentowała ideały tradycyjnie przyświecające literaturze polskiej. W to miejsce próbowano stworzyć pseudowartości podporządkowane dezintegrującej polityce kulturalnej i o wyraźnie politycznym i antydemokratycznym charakterzrze. Usiłowano podważyć prawdziwe hierarchie pisarskie, atakowano pisarzy cieszących się uznaniem społecznym i drukujących często swoje utwory w prasie drugiego obiegu. W tygodnikach oficjalnych pojawiły się nazwiska często nie związane z literaturą, proweniencji czysto dziennikarskiej. Bez autentycznych czasopism literackich, bez wymiany opinii, życie literackie nie może być odbudowane. Mam nadzieję, że potrafimy to zrobić. Przychodzą tu na myśl inne jeszcze okoliczności: jest jak gdyby pewna lekkomyślność w traktowaniu literatury i kultury jako całości, jest skłonność do hołdowania zjawiskom najwybitniejszym, nie uwzględniając i nie wspomagając całokształtu zjawisk, na którym cały gmach kultury się opiera. Powtarza się trzy, cztery nazwiska, reszta pozostaje w cieniu. Dotyczy to różnych dziedzin sztuki, wyraźnie obserwuje się to rónież w poezji, która jest różnorodna i ma

zasięg o wiele rozleglejszy niż tych kilka dzieł „firmowych”. Mam tu pewne żale do krytyków i historyków literatury, że nie starają się brać udziału w ustaleniu pawdziwcej hierarchii literackiej, w bronieniu pisarzy zagrożonych, szkalowanych lub przemilczanych, bo choć literatura w końcu sama się obroni, trzeba na to czekać zbyt długo, krzywdząco długo. Krytycy wycofali się jak gdyby na pozycje akademickie, a ich bezpośredni udział w odbudowie życia umysłowego byłby bardzo ważny.

Druga sprawa to miejsce pisarza w tym, co się w Polsce aktualnie dzieje. Kiedy pisało się do drugiego obiegu, wydawalo się, że wszystko, co się tam publikuje, powinno być niesłychanie ważkie z punktu widzenia społecznego i moralnego, bo skoro ludzie narażają się drukując te teksty, powinny być one godne takiego ryzyka. Mogło to być czasem paraliżujące dla autora, czasem stymulujące, cała bowiem strefa twórczości – choćby wiersze liryczne – ulegała autorskiemu samoograniczeniu. Jesteśmy nadal w podobnej sytuacji, choć minął już okres drugiego obiegu. To jednak będzie się powoli zmieniało. Niestety, oficjalne pisma literackie mają, jak już wspomniałam, nadal tę samą obsadę, co w okresie stanu wojennego, i pisarze, którzy z nimi nie współpracowali, nadal wstrzymują się od przesyłania tam materiałów. Pozostaje „Tygodnik Powszechny”, ale jest to czasopismo o określonym profilu i problematyce, z niewielkim stosunkowo marginesem na tzw. literaturę piękną. Miejmy nadzieję, że nowopowstałe Stowarzyszenie Pisarzy

Polskich potrafi sprostać zadaniom, jakie przed nim stoją, również w tej dziedzinie.

FS: Na sali zauważyłem wielu młodych ludzi…

AM: Owszem. Od nestora literatury po najmłodszych, z Kraju i z Zagranicy. Pan jest członkiem komitetu założycielskiego, członkiem założycielem jest również Czesław Miłosz i Gustaw Herling-Grudziński. I pisarze z Kraju od Andrzeja Kuśniewicza i Juliana Stryjkowskiego, aż do młodych poetów krakowskich, Bronisława Maja czy Jana Polkowskiego. Oczywiście, myślę, że i Adam Zagajewski i inni będą członkami tego Stowarzyszenia. Stanisław Barańczak został wybrany członkiem Zarządu przez Walny Zjazd Założycielski, i to też jest fakt znamienny. Od kilkudziesięciu lat z przerwami toczy się rodzaj wojny, którą administracja wydała inteligencji polskiej, zwłaszcza środowiskom twórczym, pisarzom. Przecież nie było takich przywódców, którzy by nie pomstowali na kawiarnię literacką. Dlatego, że tzw. kawiarnia pseudonimowała opinię publiczną. Istniała w Polsce tradycja kawiarni literackiej, tradycja na przykład Honoratki i innych kawiarń związanych z Powstaniem Listopadowym i Styczniowym. Dzisiaj wśród politologów używane jest pojęcie tzw. dziennikarstwa mówionego. Tego żaden reżim totalitarny nie lubi. l wojna przeciw inteligencji twórczej ustawała w pewnych okresach, w 1956 czy po 1970, kiedy następowały zmiany ekip, ale ten sam Gierek, który wołał,

żeby mu pomóc, kilka lat wcześniej też złorzeczył tzw. kawiarni literackiej. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że wojna przeciw inlcligencji twórczej osiągnęła swoje apogeum w czasie stanu wojennego, kiedy zlikwidowano wszystkie czasopisma i kiedy powstały inne. Nie waham się twierdzić, że niektóre z tych nowozałożonych czasopism prowadzone były przez pseudoliteracką kanalię, bo nie ma na to innego określenia. Ci ludzie zajmowali się przede wszystkim personalnymi atakami przeciw pisarzom. To było ich zadanie, wykonują je do dzisiaj. Więc oczywiście jeżeli potrwa tendencja reformatorska, to i to się skończy, ale proszę zwrocić uwagę, że oni nigdy dotąd tego stanu wojennego nie odwołali. Więc czasopisma literackie się nie zmieniły. Stowarzyszenie, któreśmy założyli, jeszcze nie jest zarejestrowane. Oczywiście na najwyższym szczeblu nie będzie przeszkód, ale dlatego o tym mówię, że wojna jest również wojną psychologiczną, polega na odbieraniu otuchy. My mówimy i trzeba tak mówić, że nic nie może złamać poety, pisarza, że milczeniem nie można go zabić. Ale jednak można. Można w każdym razie bardzo osłabić jego wenę. Mówimy, że się pisze do szuflady. Doświadczenie pokazało, że szuflady bywają puste. Muszą istnieć tzw. motywacje społeczne. Jest takie okrcllenie angielskie *lack of motivation*”. Jeżeli powstaje taka sytuacja, to może nastąpić milczenie, przejście do działań politycznych. Ja nie mówię, że ci autorzy nie będą działać. Będą bardzo pożytecznymi działaczami społecznymi. Ale dla literatury okażą się często straceni, dlatego, że po prostu nie wystarczy im sił, żeby ją

kontynuować w milczeniu, niepewności czy rzeczywiście jest to konieczne, kiedy jest tyle naglących potrzeb społecznych. I to jest oczywiście bardzo złe.

Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki na tarasie Domu Pracy Twórczej Literatów w Oborach, fot. Andrzej Szypowski, 12 X 1959 r. Zbiory Biblioteki Związku Literatów Polskich

Narody istnieją dzięki księdze i kulturze. Przetrwanie związane

jest nie z państwem, lecz z kulturą narodową. Ktoś powiedział, że nie byłoby Polski, gdyby nie Mickiewicz, Sienkiewicz, Żeromski czy Wyspiański. To jest lapidarnie powiedziana część istotnej prawdy. Dzisiaj względy moralne są niesłychanie ważne i po to prowadzi się wojnę przeciw inteligencji, żeby zniszczyć autorytety moralne w społeczeństwie. Zniszczenie autorytetów moralnych czyni naród bezbronnym. Powiada się, że naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny. I na tym polega ta wojna. Przecież myśmy musieli walczyć o programy szkolne, gdzie umniejszano literaturę i umniejszano historię. Przecież cała historia Polski jest bardzo literacka, a literatura polskajest bardzo historyczna i polityczna. To jest ściśle związane. Myśmy się kiedyś zastanawiali nad tym – był wtedy Miłosz, był Zagórski i Ważyk – na takiej debacie w Łomży o poezji: co ją znamionuje? I doszliśmy do wniosku, że znamionuje ją wyostrzone poczucie historii. Poczucie toczącej się historii politycznej. To jest znamienne. Nie ma poety polskiego nietkniętego przez wydarzenia i to właśnie miał chyba na myśli Miłosz nazywając poetę polskiego barometrem. Ciekawe, że w stanie wojennym były ataki na poezję romantyczną ze strony administracji państwowej. Dzisiaj nie ma takich rozróżnień. Bo opozycja demokratyczna łączy w sobie tradycje organicznikowskie i tradycje romantyczne w sensie moralnym. Co do wojny z inteligencją twórczą: ta wojna musi być skończona żeby stworzyć normalne środowisko literackie, które by pozwoliło na normalne spory w obrębie literatury, na

normalne debiuty, i żeby oddać sprawiedliwość temu, kto na to zasługuje. Jednym słowem: żeby ustalić hierarchię wartości.

FS: Rozmawiamy w Warszawie w przeddzień wyborów – o poezji…

AM: My jesteśmy obydwoje, Julia i ja, członkami Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Część tego komitetu towrzy tzw. komisję kultury. Mówię o tym, bo pewne integracje personalne zostały dokonane, ale to nie zastępuje ogólnokrajowych instytucji literackich. Nam próbowano serwować, zamiast normalnego życia kulturalnego, rzeczy spektakularne i skandaliczne, np. na gruzach Związku Literatów miała być powołana administracyjnie Akademia. To tylko jeden przykład budowania fasad zamiast prawdziwego życia. I to musiało się skończyć, tak, jak się skończyło.

JH: Poruszyliśmy dużo problemów, dotknęliśmy szereg bolączek atakże wspomnieliśmy o niektórych naszych nadziejach.

Warszawa, wiosna 1989.

Florian Śmieja: „Siedem rozmów o poezji", wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

Recenzja książki „Siedem rozmów o poezji" ukaże się na

Culture Avenue w czwartek 27 lipca 2017 roku.

Julia Hartwig, poetka, eseistka, tłumaczka poetów francuskich i amerykańskich, urodziła się w Lublinie w 1921 roku, zmarła w 2017 roku w Pensylwanii. Podczas wojny była łączniczką A.K. i uczestniczką podziemnego życia kulturalnego. Studiowała filologię polską i francuską na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i w Paryżu. W 1954 roku poślubiła poetę i tłumacza, Artura Międzyrzeckiego. W latach 1970–1974, razem z mężem przebywała w Stanach Zjednoczonych, będąc uczestnikiem *International Writing Program*, a następnie wykładowcą Drake University. Prowadziła też wykłady na Uniwersytecie w Ottawie (1971) i Carleton University (1973) w Kanadzie. W 1979 roku ponownie przebywała w USA na zaproszenie Departamentu Stanu. W 1989 roku była członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Lechu Wałęsie. Była członkiem Związku Literatów Polskich (1945–1983, w Zarządzie Głównym w latach 1980–1982), Polskiego PEN-Clubu (od 1956), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989, wiceprezes w latach 1990–1999). Od 2008 była przewodniczącą jury Nagrody Mediów Publicznych Cogito w dziedzinie literatury pięknej. W 1995 roku powstał o poetce film dokumentalny pt. *Julia Hartwig* w reżyserii Adama Kulika i według jego scenariusza, a w roku 2003 następny pt. *Ułamki codzienności. Julia Hartwig* (scenariusz i

realizacja: Elżbieta Rottermund). W 2014 X Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybrał ją na honorowego Prezesa Stowarzyszenia, a w październiku 2014 roku otrzymała Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborkiej za książkę „Zapisane". W 2015 roku Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przyznał jej tytuł doctora *honoris causa*.

Swoje wiersze i artykuły ogłaszała w pismach: „Odrodzenie", „Nowa Kultura", „Świat", „Nowe Książki", „Poezja", „Tygodnik Powszechny", „Twórczość", „Kresy", „NaGłos", „Zeszyty Literackie", „Odra", „Więź", „Kwartalnik Artystyczny".

Jej główne książki poetyckie to „Wolne ręce" (1967), „Chwila postoju", „Dwoistość" (1971) i" Obcowanie" (1987). Monografie: „Apollinaire" (1961) i „Gerard de Nerval" (1973). Autorka „Dziennika amerykańskiego" (1980).

Artur Międzyrzecki, polski poeta, tłumacz literatury francuskiej i anglosaskiej, autor słów piosenek, działacz społeczny i polityczny, urodził się w Warszawie w 1922 roku, zmarł w 1996 roku tamże. Po wybuchu II wojny znajdował się we Lwowie, skąd został w 1940 roku zesłany przez Sowietów do Kazachstanu. W 1942 roku wstąpił do Armii Polskiej. Następnie jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie odbył cały szlak bojowy 2 Korpusu (Kampania włoska i Monte Cassino). Debiutował wówczas zbiorem poetyckim „Namiot z Kanady".

Studiował w Bolonii i w Paryżu (literatura, nauki polityczne). Po powrocie do Kraju zamieszkał w Warszawie (1950). W latach 1956–1958 współredaktor „Nowej Kultury”, w latach 1965–68 „Poezji”. Publikował na łamach tygodnika „Świat”. W latach 1970–1974, razem z żoną, Julia Harwig, przebywał w USA. W latach siedemdziesiątych uczestniczył w pracach Centrum Dialogu (*Editions du Dialogue*) Księży Pallotynów w Paryżu. W latach 80. wspierał Solidarność.

Wybory wierszy ukazywały się w latach 1971, 1979, 1980, 1989. Podstawowy dorobek przekładowy i eseistyczny w „Dialogach i sąsiedztwach” (1971) i tomie „Rimbaud, Appolinaire i inni” (1988). Członek jury Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej przyznawanej w Belgii (1958-). Wiceprezes Polskiego PEN Clubu (1978-) i prezes PEN-Clubu (1991-1996). Był członkiem Stowarzyzenia Pisarzy Polskich. Laureat m.in. Nagrody Literackiej PEN (1971), francuskiej Prix Annuel de Traduction (wespół z Julią Hartwig, 1977), Fundacji im. Jurzykowskiego (1988) i „Literatury na świecie” (1989).

W 1992 r. wydał wraz z żoną Julią Hartwig antologię poezji amerykańskiej.